

85-2/23
H. LUBIENSKI

ŻYCIE
JEST
PIĘKNE



HENRYK LUBIEŃSKI

ŻYCIE JEST PIĘKNE...

POWIEŚĆ

BEZPŁATNY DODATEK „ORĘDOWNIKA“

POZNAŃ 1938

NAKŁAD I CZCIONKI: Drukarnia Polska S. A. w Poznaniu

PT4d

K 2735
761182 II

K-89/958

24,2, 400, 5



I.

Owa „trójka hultajska“, której przedziwne losu koleje zamierzam tu opisać, zaliczała się do dość pospolitej dziś kategorii ludzi, przezwananych „sublokatorami“. W tym charakterze zamieszkiwali w Warszawie, przy ul. Nowogrodzkiej, w mieszkaniu niejakiej Agnieszki Flisak, właścicielki pralni i wdowy po byłym właścicielu trzech parokonnych dorożek.

Te dorożki stały się właśnie przyczyną przedwczesnej śmierci pana Telesfora, męża pani Agnieszki. Przyszła bowiem taka chwila po wojnie w Warszawie, że nikt już dorożkami, szczególnie parokonnymi, jeździć nie chciał. Wyparła je szybsza i tańsza taksówka. Nikt już nie nucił tej romantycznej piosenki:

„Pojadę na spacer w Aleje
Dorożka na gumach first class,
Znajomych tłum do mnie się śmieje
I mkną chwile, jak z bicia trzaski

— Tak, tak — mawiał smętnie pan Telesfor. —
Nastali inne caszy ..

Z trzech dorożek, mających swój postój przed Hotelem Europejskim, musiał stopniowo zlikwidować dwie. Zostawił sobie jedną, ostatnią i odprawivszy woźnicę, sam osobiście zasiadł na koźle, jak za dawnych, młodzieńczych lat, w zaraniu swej dorożkarskiej kariery. To jednak na nic się nie zdało. Nawet na tę jedną dorożkę amatorów nie było. A jeżeli się czasem jaki trafiał, to najpierw przezornie dopytywał się

o cenę kursu, a dowiedziawszy się, próbował się targować. Ot, goła hołota! Nie, do tego pan Telesfor nie był przyzwyczajony. Dawniej, za dobrych czasów, nikt się nie targował, ani nawet reszty z rubla nie żądał. A jeżeli gość był podgazowany, to czasem i z pięć rubeliansów srebrnych za kurs zapłacił. Hej, to były czasy! To było piękne życie!

Pewnego wieczoru, gdy drzemiał na koźle, marzył o tych dawnych czasach, zbudziło go energiczne i głośne zapytanie:

— Wolny?

Pan Telesfor spojrział i zdumiał się. Stał przed nim gość dziwnie ubrany: w płaszczu mikołajewskim z pelerynką, mocno już podniszczonym i wytartym, w futrzanej czapie, przekrzywionej na głowie, i chwiał się lekko na nogach.

— Hej, wolny? — powtórzył już nieco głośniej.

Miał w sobie coś pańskiego, jakiś zniewalający władczy gest. Toteż pan Telesfor wyprostował się od ruchowo na koźle, ujął cugle w garść i zdjawszy czapkę, rzekł:

— Wolny, panie dziedzicu! A dokąd pojedziem?

— Ot, za miasto! W Sielanku! — zawołał gość, sadowiac się w dorożce.

— Zalany w rybizgi! — pomyślał z rozczeniem pan Telesfor.

Wiózł swego pasażera z całą paradą przez Aleje Ujazdowskie, częstym batem i cmokaniem podpędzając konie, nieco już odwykłe od kawalerskiej jazdy. W Sielance przyjęto dziwnego pasażera z wielkimi honorami: musiał być widocznie stałym tam bywalcem. Po chwili kelner wyniósł panu Telesforowi „aniołkę“ czystej wyborowej, zakropionej gorzką i kawał kielbasy, „raz na widelec“. Za kwadrans przyniósł znowu bombe piwa. Wreszcie zjawił się po raz trzeci i skinął na pana Telesfora:

— Ojciec, pójdźcie zaraz! Wasz gość prosi was do siebie!

— Gdzieżbym ja śmiał! — ceremoniował się pan Telesfor.

— Musicie iść, bo gość pijany i uparł się, aby was poprosić do stołu. Jak nie przyjdziecie, gotów zrobić jakąś burdę...

— A któż to taki

— Pułkownik z dawnej armii rosyjskiej... Białogwardzijec... My go tu pamiętamy jeszcze sprzed wojny. Ho, ho, dobry to był wtedy gość! Teraz wódkę czystą żłapie, a dawniej to, panie, kawitory, ananasy, szampany... Takich dzisiaj już nie ma! No, chodźcie...

Kelner zaprowadził pana Telesfora do osobnego gabinetu, gdzie siedział pułkownik sam, dumając smętnie nad świeżo rozpoczętą karafką wódki. Spojrzał mętym nieco wzrokiem na pana Telesfora i napełniając wódką dwa duże kielichy, wskazał mu miejsce przy stole:

— Siadaj! Wot samemu skuczno...

Wypili sporą karafkę wódki do ostatniej kropli i pułkownik zamówił drugą. Pili przeważnie w milczeniu, gdyż pułkownik był już tak pijany, że bełkotał jedynie chwilami jakieś niezrozumiałe słowa po rosyjsku. Dopiero gdy orkiestra zagrała romanse cygańskie, pułkownik drgnął, jakby go przeszedł elektryczny prąd i począł się lekko kołysać do taktu muzyki. Zdawał się trzeźwieć. Twarz jego promieniowała wyrazem zachwyty i wielkiej błogości. Gdy ucichły ostatnie tony muzyki, wlepił nagle wzrok w wiszące naprzeciw nich lustro i przyglądał mu się długo z dziwnym uporem. Wreszcie spojrzał na pana Telesfora i mrugając tajemniczo, szepnął:

— Ot, a gdyby tak rozbić to lustro? Co?

— Można — zgodził się pan Telesfor.

— Ba — westchnął pułkownik. — Ja już się pytał garsona... Lustro kosztuje sto złotych, a ja mam tylko sześćdziesiąt...

Pana Telesfora aż zatkało ze wzruszenia. Jak to, taki wielki pan, taki swój człowiek, a na lustro go nie stać! Popuścić fantazji swej nie może, bo brak mu czterdziestu złotych! Hej, dolaż jego, nieszczęsna dola!

Nieśmiało, jękając się, zaproponował:

— Jak pan chce rozbić lustro — proszę bardzo... Ja dołożę te czterdzieści złotych... Przecie człowiek pamięta dawne czasy... No, różnij bracie! Abyśmy tak zdrowi byli!

— Wot, słowiańska u was dusza! — rozplakał się pułkownik.

Nieszczęście stało się znacznie później, przy powrocie z Sielanki, a przypisać je wyłącznie trzeba pewnej taksówce, która, jak wiadomo, jest wynalazkiem diabła. Pan Telesfor uparł się, aby sięść w dorożkę obok swego pasażera i obejmując go czule, w takiej to dość niewygodnej pozycji usiłował powozić. Na Nowym Świecie wyjechała niespodziewanie z bocznej ulicy diabelska taksówka i wówczas stało się nieszczęście. Nastąpił karambol, zgruchotanie dorożki, pogniecie błotników w taksówce. Epilog rozegrał się w komisariacie policji, gdzie odebrano panu Telesforowi prawo jazdy. W taki to, smutny sposób przestało ostatecznie istnieć przedsiębiorstwo dorożkarskie pana Telesfora.

Od tej pory pan Telesfor nie domagał. Jak mówiła małżonka, od tego wypadku „zepsuła mu się wątroba“. Istotnie w kilka miesięcy później, przeniósł się na łono Abrahama, gdzie jak wiadomo nie ma taksówek. Nieutulona w żalu „wodowa po b. właścicielu dorożki“, materialnie na tym nie straciła, gdyż już od dawna pralnia była podstawą ich budżetu domo-

wego. Poza tym czerpała też nie złe zyski ze swych sublokatorów.

Otóż, jak to się już rzekło, u tejże pani Agnieszki Flisak, o której przyjdzie jeszcze nieraz tu wspomnieć, zamieszkali powyżej wymienieni, a raczej jeszcze nie wymienieni sublokatorzy. Państwo więc pozwolą, że ich przedstawię:

Staszek Ostrowski, lat 27, magister filozofii, z zawodu dziennikarz, trochę literat, wesoły blondynek o roześmianych oczach. Felek Rak, lat 28, świeżo upieczony, bo przed miesiącem dyplomowany inżynier-mechanik, na pierwszy rzut oka poważny sensat i ponury melancholik, lecz skłonny do największych szaleństw młodzieńczych, wysportowany, lotnik w rezerwie, silny jak dąb, chłop poczciwy z kośćcami, choć brzydki jak półtora nieszczęścia. Wreszcie najmłodszy dwudziestotrzyletni Janek Korba, magister praw, piękny jak cheb, wesoły, swiergotliwy i figlarny, przezwany „śpiewakiem“, dla wcale miłego głosu, którym chętnie i często się popisywał.

Nie będę tu wspominał, w jaki to przedziwny sposób los zetknął tych trzech młodzieńców ze sobą, nie chcąc wpadać w zgryźliwy ton pani Agnieszki, która zwykła była twierdzić:

— Panowie dobrali się, jak w korcu maku...

W każdym razie, łączyła ich długoletnia przyjaźń, a od trzech lat mieszkali u pani Agnieszki, w tym samym wspólnym pokoju. Był to najpiękniejszy pokój w jej mieszkaniu, duży, słoneczny, frontowy, z osobnym wyjściem na schody, z muślinowymi firankami na oknach i takimi, niepokalanymi kapami na dwóch solidnych, żelaznych łóżkach. Najmłodszy Janek sypiał na ceratowej kanapie, mającej wszystkie charakterystyczne właściwości równi pochyłej. Oprócz tego, pokój „zdobił“ duży stół, pokryty linoleum, parę drewnianych, prostych stolików, jakiś staroświecki fotel

o połamanych sprężynach i pozbawiony dla harmonii jednej nogi, szafa, oraz umywalka z poszczerbioną zębem czasu miednicą i dzbankiem, który widocznie długo już wodę nosił, bo miał urwane ucho.

Jak widzimy więc z powyższego opisu, pokój był z „wszelkim komfortem“, lecz zdaniem Staszka miał tę jedną niedogodność, że trzeba było za niego każdego pierwszego uiszczać czynsz pani Agnieszce, w zawrotnej sumie sześćdziesięciu pięciu złotych. Kwota ta, płacona teoretycznie wspólnym wysiłkiem, była bardzo poważna, jak na stan majątkowy naszych trzech przyjaciół. Felek był np. bezrobotny, a skromne zasiłki, jakie mu dotychczas przysyłała jakaś ciotka z Częstochowy, urwały się, gdy otrzymał dyplom inżynierski. Ostatniej przesyłce pieniędzy po tym radosnym zdarzeniu towarzyszył list ciotki następującej treści:

„Kochany Felku! Z całej duszy się raduję, żeś dostał wreszcie dyplom inżyniera, że jesteś już skończonym człowiekiem. Posyłam Ci z tego powodu tysiące serdecznych gratulacyj i życzeń szczęścia. Teraz już jestem spokojna o twój los. Ponieważ będziesz od-tąd sam zarabiał na siebie, wstrzymuję wysyłkę dalszych pieniężnych zasiłków. Będą ci już one niepotrzebne. Serdecznie Cię całuję. Twoja kochająca ciotka Ernestyna.“

Gdy „skończony człowiek“ przeczytał głośno ten list przyjaciółom, zapadło grobowe milczenie, które przerwał wreszcie Staszek:

— A widzisz! Po cóż się tak spieszyłeś z tym dyplomem?

— Któż mógł to przewidzieć! — westchnął Felek.
— A zresztą ciotka ma rację: teraz dostanę płatną posadę...

— Najlepsza posada, to stała miesięczna subwencja od ciotki — rzekł Janek.

Niestety miał rację. Dyplom inżyniera jakoś nikogo nie przejmował, a starania o dostanie posady były dotąd bezskuteczne. Patrzono na młodego inżyniera z politowaniem:

— Hm, dyplom... A referencje jakie pan ma?

— Nie mogę służyć...

— Może jakiego krewnego, pułkownika? Wuję posła? Stryja wiceministra?

— Niestety! Mam jednego wuję w Częstochowie, który ma sklepik towarów korzennych...

— Too przykre... Niestety nie mamy dla pana nic odpowiedniego... Teraz kryzys, bezrobocie, redukcje... Dziś młodzi inżynierowie kończą kurs szoferski i zarabiają jako szoferzy taksówek... Tak, panie inżynierze! Takie to czasy!

A jednak, właśnie ów wuj z Częstochowy miał w Dyrekcji Tramwajów Miejskich w Warszawie, przyjaciela, który obiecał Felkowi wyrobić posadę kancelisty biurowego przy tramwajach, od jesieni. Na razie, w oczekiwaniu na tę stałą posadę, Felek śleczał dniami i nocami nad planami modelu nowego samolotu sportowego, który zdaniem jego wywoła prawdziwy przewrót w lotnictwie.

Najmłodszy Janek był również bez posady. W różnych biurach państwowych i instytucjach prywatnych tłumaczono mu bezowocność starań o posadę:

— Pan jest prawnikiem? A czy pan wie, że rocznie blisko tysiąc prawników otrzymuje na uniwersytetach polskich tytuł magistra praw? Jakże pan chce, aby dla wszystkich znalazła się posada? To są dziecinne mrzonki, kochany panie magistrze!

Na razie pomagał finansowo Jankowi ojciec, emerytowany radca skarbowy we Lwowie. Lecz większą

Życie jest piękne

część tej skromnej pensyjki przeznaczał Janek na opłacanie nauki śpiewu. Wierzył w swój talent i śnił mu się los Kiepury.

— Dlaczego nie miałbym zrobić kariery Kiepury? On także był prawnikiem — tłumaczył swym przyjaciółom.

— Ba! — chłodził jego zapał Felek. — Kiepura był najlepszym śpiewakiem wśród wszystkich prawników i najlepszym prawnikiem wśród śpiewaków... Ale cóż, nie każdy jest Kiepurą!

— A ja wam mówię, że usłyszycie mnie jeszcze w operze warszawskiej!

— Chyba w balecie — mruczał ponuro Felek.

Najlepiej stosunkowo usytowanym wśród „trójki hultajskiej“ był Staszek. Pracował jako dziennikarz w „Dzienniku Stołecznym“ i pobierał miesięczną pensję 300-złotową. Niestety „Dziennik Stołeczny“ był pismem deficytowym, wegetującym z dnia na dzień i wypłata pensyj pracownikom odbywała się ratami, a raczej codziennymi dawkami. Wysokość ich zależała od dobrego humoru kasjerki, nieco skostniałej w swym niewdzięcznym zawodzie, pani Melanii Rolandowej, lecz w najlepszym razie nieprzekraczała nigdy jednorazowo sumy dziesięciu złotych.

Odłożenie z tych małych dawek kwoty, potrzebnej na opłacenie czynszu za mieszkanie (na Felka i Janka nie można było liczyć), było problemem bardzo trudnym do rozwiązania. Toteż każdego pierwszego rozpoczynała się wojna z panią Agnieszką, trwająca z małymi zawieszeniami broni, aż do końca miesiąca. Wojnę rozpoczynała zwykle wymiana listownych, co raz ostrzejszych w tonie. Pisała np. pani Agnieszka lakonicznie i jędrnie:

„Szanowni Panowie! Co panowie sobie myślom względem czynszu? Chwała Bogu mamy już dwu-

stego, a ja jeszcze nie dostałam złamanego grosza! To jest obraza boska tak postępować z biedną wdową, która nie ma co włożyć do ust!"

Odpisywał zwykle Staszek:

„Szanowna Pani Dobrodziejko! Boga obrażać nie chcemy a o zapłaceniu czynszu biednej wdowie zawsze myślimy.“

Po takiej wymianie not dyplomatycznych następowały utarczki słowne. Gdy i one nie odnosiły realnego skutku, przychodziła kolej na srogie represje: zamknięcie dostępu do pewnej dyskretnej, a w niektórych wypadkach bardzo potrzebnej ubikacji, wyłączenie elektryczności, cofnięcie usług nadobnej dziewczoi, noszącej słodkie imię Cecylii, i wiele jeszcze innych, niezawodnych i wypróbowanych, na które zdobyć się może wojownicza fantazja warszawskiej „gospodyni“, wynajmującej pokoje sublokatorom. W takich wypadkach wysyłano parlamentariusza, w osobie Janka. Pani Agnieszka miała do niego jakąś słabość. Gdy wojna domowa wkraczała w najostrzejszą fazę, Janek zaczynał śpiewać przed drzwiami pokoju gospodyni różne piękne przeboje, jak „Ninon“, „O sole mio“, „Tyś mój świat“, po czym dopiero odważał się wkroczyć na teren nieprzyjacielski. Pani Agnieszka udawała wówczas jeszcze bardzo srogą, lecz oczy jej się śmiały do młodego śpiewaka, gdy mówiła:

— Jak pan śpiewa, to mnie jakoś tak dziwnie w dolku ściska... Płacić, to pan nie płaci, ale śpiewać ho, ho, to pan umie!...

I ostatecznie zgadzała się jeszcze kilka dni poczekać. W gruncie rzeczy pocziwa to była niewiasta. Dobry Pan Bóg umieścił w jej potężnym, srogim, zawieszistym łonie, serce czułe i miękkie jak wosk.

Wśród trzech przyjaciół Staszek miał przezwisko „burżuj“. Troszkę, z powodu swej posady, a trochę z racji swego pochodzenia szlachecko - ziemiańskiego. Rodzice jego byli bowiem niegdyś bardzo zamożnymi ziemianami na Ukrainie i wczesne dzieciństwo Staszka upłynęło w atmosferze dostatku ziemiańskiego dworu. Potem przysła wojna światowa, rewolucja w Rosji i bolszewizm. Dni krwawej grozy, które pozostały na zawsze w pamięci, jak straszliwy koszmar. Wyzuci z mienia i domu, zdołali się przedrzeć do Polski. W krótkce potem umiera jego ojciec na aneurizm serca, a w dwa lata później — matka. Piętnastoletni wówczas Staszek pozostał się sam, zdany na własne wyłącznie siły. Była w nim jednak jakaś urodzona, atawistyczna, niezwykła energia i życiowa odporność, jaką mają czasem ludzie z kresów pochodzący. W ciągu lat dziesięciu, pracując początkowo jako goniec w pewnej redakcji, później jako praktykant fryzjerski, pikolak w restauracji, wreszcie subiekt w księgarni, zdołał jednocześnie ukończyć gimnazjum i odbyć studia uniwersyteckie. Czując pociąg do pióra, powrócił wtedy do tej redakcji, w której niegdyś rozpoczynał karierę życiową jako chłopak do posylek, tym razem w roli reportera. Znalazłszy się u kresu swych marzeń, u celu, który sobie wytknął i do którego wytrwale dążył, po tylu latach zmagania z losem i uporczywej walki o byt, przekonał się prędko, że walka ta jeszcze się dla niego nie skończyła. Lecz choć może spragniony był wytchnienia i spokojnej egzystencji, nie zatracił wśród tych codziennych kłopotów i zawodów pogody ducha, humoru i młodzieńczej niefrasobliwości.

Pod tym względem trzej przyjaciele, nawet pozornie ponury Felek, byli do siebie bardzo podobni: zawarli przymierze ze słońcem. I dlatego może serca ich były złote, dusze jasne jak kryształ, a uśmiech słodki.

II.

— Janek, otwórz okno! — zawołał Felek przeciągając się i ziewając głośno, jak lew.

Janek w nocnej koszuli pobiegł do okna, otwierając je szeroko.

Majowy, cudny poranek wtargnął do pokoju falą świeżego powietrza i blaskiem słońca.

— Pogoda, jak rybie oko — zanucił Janek na nutę *La Donne e mobile*.

Lecz Staszek zbudzony z głębokiego snu, począł kląć:

— Ażeby ci pękła struna głosowa!

Spojrzał jednak w okno i niebieskie jego oczy rozjaśniły się natychmiast.

— Uj, wiosna ta — zaryczał z kolei, głębokim basem, przypominającym beczenie zarzynanego barana.

Felek rzucił w niego pantoflem.

— Nie rób konkurencji Jankowi! I w ogóle lepiej zachowujemy się cicho!

— Niby dlaczego? — zapytał Janek, wracając na swą ceratową kanapkę.

Felek wskazał wymownym gestem na drzwi, wiodące do apartamentów pani Agnieszki.

— Nie wywołujmy wilka z lasu!

— Wilk i tak za chwilę da o sobie znać!

— Wilk dziś będzie siedział cicho! — oznajmił Staszek uroczyście.

— Skąd ty to możesz wiedzieć?

— Wiem. Wczoraj ulaskawiłem wilka. Mamy zapewniiony spokój do końca tygodnia...

— Hurra! — zawołał Janek.

— Wobec tego — rzekł Staszek — możecie jeszcze pospać. Zwłaszcza, że jest dopiero pół do dwunastej...

— A może by tak pójść na spacer w Aleje? — proponował Janek.

— Przesada! Z łóżek widzimy również lazur nieba, możemy się opalić w wiosennym słońcu, słyszymy śpiew kanarka pani Agnieszki, a powietrze tu równie złe, jak w Alejach...

— Słuchaj Staszek: a u was w redakcji jeszcze strajk zecerski?

— Gdyby nie było strajku, to bym nie gnił teraz w łóżku! Mówią, że dopiero jutro się skończy...

Tymczasem Felek wyskoczył jednak z łóżka i powoli, z wielką powagą jął wyczyniać jakieś pocieszne przysiady i przerzuty gimnastyczne. Na zakończenie fiknął kozła, błysnąwszy w powietrzu nagimi, kosmatymi nogami.

— Wychodzę na miasto! — oznajmił ponuro, ubierając się.

— A z czym? — zapytał fachowo Janek.

— Mam kredyt w mleczarni „Łowiczanka“. Obiecałem właścicielowi przemalować szyld... Nażrę się na zapas na cały dzień. Jak chcecie, możecie iść ze mną...

— Poczekaj — powstrzymał go Staszek. — Kredyt w „Łowiczance“ przyda się innym razem... Tymczasem rozporządzam jeszcze gotówką w wysokości czterech złotych... Wystarczy na przyzwoity obiad dla nas trzech...

— Ha, jak sobie życzysz — zgodził się łatwo Felek.

W kwadrans później trzech młodzieńcy byli już gotowi. Sprawy toaletowe nie zabierały im zbyt wiele czasu. Największym elegantem był Janek, mający do własnej, wyłącznej (!!) dyspozycji dwa garnitury, wcale jeszcze nie źle się prezentujące. Natomiast Staszek i Felek pod względem garderobianym uznawali zasady komunizmu. Posiadali wspólnie dwa ubrania, z których jedno raz tylko przenicowane, przeznaczone było od święta i większej parady. Ponieważ Staszek

ponosił całkowicie koszt przenicowania, rościł sobie odpowiednio do tego, większe prawa używalności. Toteż, gdy wychodzili razem, Staszek przywdziewał zwykle lepszy garnitur, odstępując go Felkowi jedynie w wyjątkowych okazjach.

Najdłużej marudził Janek, zaczesując starannie swe bujne, złoto-blond włosy przed kawałkiem połamanego lustra.

— Marudzisz jak autentyczna dziewczica, która się wybiera na pierwszą randkę — irytował się Staszek.

— Marudzę — odpowiedział wesoło Janek — bo spodziewam się dziś listonosza pieniężnego...

— Bujać to my!

— Przepraszam, to wcale nie bujda! Stary obiecał mi przysłać w tym miesiącu dodatkowy zasiłek pieniężny.

Felek usiadł na łóżku, które pod jego ciężarem podejrzanie trzasło.

— Ja wierzę w przeczucie! Czekajmy!

— Szkoda czasu! — mruknął Staszek.

Lecz w tej samej chwili, ktoś energicznie do drzwi zapukał.

— Widzicie, że miałem rację — zawołał Janek i pospieszył otworzyć.

Natychmiast jednak powrócił z zawiedzioną miną.

— To do ciebie Felek, jakiś pan — rzekł.

— Któż to taki? — zaniepokoił się Felek.

— Nie wiem. Wygląda na komornika...

Felek wyszedł groźnie zmarszczony, prostując swe atletyczne bary. Lecz po chwili za drzwiami odezwał się jego niedźwiedzi ryk.

— Jak się masz, wujku!

Pchał teraz do pokoju okazałej postawy grubasa, który toczył się jak beczka, na krótkich nogach spłoszonej, zaczerwienionej, śmiejąc się głośno.

— Wujko z Częstochowy przyjechał — wołał Felek — Pozwolisz wujku, że ci przedstawię swych kolegów: magister Ostrowski i magister Korba...

Wujko wyciągnął grube łapsko i rzekł serdecznie:

— Bardzo mi przyjemnie poznać panów... Dużo już o nich słyszałem...

Felek podsunął mu fotel.

— Siadaj wujku, ale ostrożnie, bo to bez jednej nogi ..

— To już wolę na łóżku — zaśmiał się wujko.

Zaciekawionym spojrzeniem obrzucił cały pokój.

— Aha, więc to tu mieszkacie...

— Ano, jakoś się mieszka...

— Owszem, owszem... Wcale przyzwoity pokój. No i przy pryncypalnej ulicy...

— Wujko na długo do Warszawy?

— Gdzie tam na długo! Interesy, mój kochany! Cały ranek wszystkie urzędy oblatałem, ale jakoś wszystko szczęśliwie załatwiłem... Wieczornym pościągłem wracam do domu.

— Ciocia zdrowa?

— Jak rydz! Bardzo się cieszy, że wkrótce będziesz już na posadzie... Bo też już czas najwyższy. panie dzieju! Ja w twoim wieku, ho, ho!

— Inne wtedy były czasy!

— A inne, to prawda! Ale ty zdaje się miałeś zamiar wyjść?

— Właśnie wybieraliśmy się na obiad...

— To świetnie się składa! Pójdziemy razem.

— To znaczy we czworo?

— Oczywiście! Bardzo mi będzie miło... Ogromnie lubię towarzystwo młodych.

Staszek i Janek poczęli się ceremoniować, ale wujko bardzo prędko przełamał ich upór, zresztą tylko formalny. Na ulicy wynikł spór, gdzie pójść. Staszek proponował pewną małą knajpę, gdzie zbierała się

zwykle cyganeria literacko - dziennikarska, lecz wujko wołał jakiś „pierwszorzędny lokal“, twierdząc, że jak się przyjedzie raz na rok do Warszawy, to trzeba się „puścić“.

— Nie kładź tamy dobroczynności wujka — mruknął Felek Staszкови do ucha.

— Dobrze. Ale czy ciebie, z taką twarzą puszcza do lepszego lokalu? — odpowiedział Staszek.

Zdecydowano się tedy po krótkiej naradzie na jeden z najwytworniejszych lokali restauracyjnych w śródmieściu i udano się tam taksówką, aby już było całkiem nobliwie i „z fasonem“. Gdy zasiedli na uboczku, w małej łoży eleganckiej restauracji, wujko cmoknął głośno, z wyrazem szczerego podziwu.

— No, no, co za przepych, panie dzieju! Za moich młodych lat nie było w Warszawie takich lokali! Oczywiście wódeczność, moi panowie?

— Musowo — odpowiedział Felek imieniem własnym i swych przyjaciół.

Za chwilę wytworny i elegancki kelner przyniósł butelkę jarzębiaku w srebrnym kubie z lodem, a jednocześnie cała armia pikolaków zastawiła stół przekąskami, mozaiką przeróżnych sałatek, marynat, pomidorów, zimnych mięsów. Okrążyła twarz wujka rozjaśniła się na ten widok, jak księżyc w pełni.

— Palce lizać — wołał mlaskając językiem.

— Burżujskie żarcie — mruczał Felek.

— A by nam się dobrze powodziło, panowie! — zawołał wujko wznosząc kielich jarzębiaku.

Felek mimo pogardy dla burżujskiego jadła, nabrał na swój talerz nieprawdopodobną wprost ilość wszystkich zakąsek i pochłaniał je teraz w milczeniu, pełnym skipienia i powagi. Z jakąś wewnętrzną
Życie jest piękne

radością, której nawet nie umiał sobie wytłumaczyć, nucił w myśli na nutę jakiegoś modnego przeboju:

— Wujko beknie grubszą forse, wujko beknie

— To dobra myśl! Pójdziemy do innego lokalu — zaproponował Janek.

— Jazda panowie! Zmieniamy lokal! — wołał wujko.

Lecz Felek przytrzymał go za rękę i szepnął tajemniczo:

— A gdyby tak to ciotka widziała? Co?

Wujko opadł na kanapkę pluszową z cichym, bolesnym jękiem, odganiając ręką jakieś widmo, które mu nagle stanęło przed oczyma. Momentalnie otrzeźwiał i sapiąc tylko głośno, rzekł:

— Apage satanas! Uff! No moi panowie, zabawiliśmy się setnie, ale komu w drogę, temu czas...

Spojrzał na zegarek i przeraził się.

— Rany Boskie! Za kwadrans odjeżdża mój pociąg!

— Zdążysz wujku. Przed restauracją stoją taksówki.

Wujko wyjął z portfela jakiś banknot i wsunął grubszą forse...

Baczył też uważnie, aby przyjaciółom na tej królewskiej uczcie na niczym nie zbywało, podsuwając im półmiski i dolewając wciąż wódki. Toteż z każdą chwilą nastrój stawał się weselszy. Wujko wprost promieniał i wołał o drugą butelkę jarzębiaku. Śmiał się, krzyczał, opowiadał jakieś niesłychanie pieprzne anegdotki, pamiętające czasy arki Noego i pod koniec drugiej butelki uparł się, aby z wszystkimi wypić bruderszaft. Przy czarnej kawie i likierach był już zdaniem Felka kompletnie „gotów“. Na szczęście o tej godzinie w restauracji było już całkiem pusto i nikt na nich nie zwracał uwagi. W pewnej chwili wujko

począł tłuc pięścią w stół i ryczeć tubalnym głosem:

— Ja chcę się bawić! Ja chcę szaleć!

Felkowi do ręki.

— Wyrównasz rachunek, bo ja już nie zdążę... Resztę sobie schowaj. Przyda ci się na papierosy...

Pożegnał się serdecznie ze wszystkimi i chwiejnym nieco krokiem wypadł na ulicę.

— Bardzo sympatycznego masz wujka, Felku — rzekł Staszek.

— Byczy chłop — zachwycił się Janek. — Tylko Felek zepsuł całą przyjemność! Po cóż mu wspomniałeś o ciotce? Wujko byłby jeszcze został na całą noc w Warszawie!

— Ja wujka znam! Byłby został i przez trzy noce! A potem ciotka urwałaby mi głowę!

— Wobec tego, cóż dalej robimy? — zapytał Janek.

— Na razie dopijemy tę kawę — rzekł Staszek. — Felek a wiele ci wujko pieniędzy zostawił?

— Nawet nie patrzyłem...

— No to popatrz i każ dać rachunek.

Felek wyciągnął z kieszeni zmięty banknot i rzucił na stół.

— Pięćdziesiąt złotych!

Staszek zaniepokoił się:

— Tylko pięćdziesiąt złotych? Chyba się mylisz! Poszukaj w kieszeni!

— Napewno więcej nie dostałem. Tylko jeden banknot. Wujko jest przekonany, że i tak dużo mi dał!

— Rany Boskie, przecież to nie wystarczy na zapłacenie rachunku!

— Dlaczego nie wystarczy? — dziwił się Felek, który nigdy nie był w drogich lokalach.

— Głupstwa gadasz — wybuchnął Staszek. — Ja dobrze wiem, jakie są ceny w takich lokalach...

Rachunek wyniesie trzy razy więcej!

— Ładny gips — rzekł Janek bardzo speszony. — A to nas wujko urządził!

Felek zerwał się z niezwykłym u niego pospiechem:

— Pojadę na dworzec, dopędzę wujka i wezmę od niego flotę...

Staszek wzruszył ramionami:

— Chyba pojedziesz do Częstochowy! Właśnie w tej chwili pociąg odszedł... Zresztą wujko nie tu nie winien... Tak jak i ty nie zna cen warszawskich...

— Więc coś zrobimy?

— Daj mi przede wszystkim te pięćdziesiąt złotych. Postaram się jakoś tę sprawę załatwić. Najgorzej, że właśnie tu prawie nigdy nie bywam i nikogo nie znam... Ale grunt: nie przejmować się i do końca trzymać fason!

Skinął na przechodzącego kelnera i kazał podać rachunek. Przewidywania jego były słuszne: rachunek wyniósł okrągłą sumkę sto dwaście złotych. Staszek sprawdził spokojnie wszystkie pozycje i odsuwając rachunek, kazał jeszcze podać trzy większe koniaki.

— Zwariowałeś? — jęknął Felek, gdy kelner się oddalił.

— Powiedziałem: trzymajmy fason! Tu chodzi o zyskanie czasu...

Tymczasem jednak wypili koniak i żadnemu nie przyszła zbawcza myśl do głowy. Nastrój stawał się coraz bardziej ponury.

— Pozostaje tylko jedno — rzekł wreszcie Staszek. — Pójdę na miasto wystarać się o flotę, a was tu zostawię, jako zastaw...

— A wrócisz? — zapytał podejrzliwie Felek.

— Wróć w każdym razie. Jak najprędzej... Każcie sobie tymczasem podać jeszcze czarnej kawy. To już wszystko jedno...

Staszek pobiegł do administracji „Dziennika Stołecznego”. Mimo strajku zecerskiego administracja była czynna i dyrektor wydawnictwa był obecny. Dowiedziawszy się o co chodzi, począł się serdecznie śmiać a potem tradycyjnym i znanym wszystkim ruchem pokazał swój pugilares, w którym była zawsze ta sama suma: trzydzieści parę groszy.

— Rozumiem twoje położenie, ale cóż ja mogę zrobić? Jak widzisz, to wszystko co posiadam... Od początku strajku wpływów nie mamy żadnych i kasa jest nieczynna...

— Może pod wieczór coś wpłynie?

— Wątpię bardzo. W każdym razie wstąpi jeszcze tak za dwie godziny. Ale nic ci obiecać nie mogę...

Staszek zaklął siarczyście i wyszedł na ulicę. Przebiegł w myślach tych wszystkich znajomych, od których mógłby pożyczyć brakujące siedemdziesiąt złotych, lecz nie znalazł nikogo, na którego można by liczyć na pewno. Gdy stał tak dumając smutnie przy przystanku tramwajowym, nagle wzrok jego padł na ogłoszenie wyścigów konnych. Błyskawicznie powziął decyzję: jedynie wzięcie to zaryzykować te niegdziesiąt złotych od wujka i... wygrać na wyścigach. Wstąpi go nie będzie kosztował, gdyż miał przy sobie dziennikarską kartę. Nie namyślając się więc już dłużej, wskoczył do tramwaju, jadącego na Mokotów.

Gdy wszedł na plac wyścigowy, trzeci bieg właśnie się skończył i tłum publiczności stał przed okienkami totalizatora. W czwartej gonitwie biegały cztery konie, wśród których jeden, piękny kasztan, oznaczony numerem trzecim, był ogólnym fawory-

tem. Staszek zasugestionowany przez tłum, postawił dziesięć złotych na trójkę.

— Płacić wiele nie będzie, ale przyjść musi — klarował fachowo jakiś dżentelmen w sportowym ubraniu.

Staszek stanął przy rampie i obserwował start. Jeżeli trójka wygra bieg — myślał — to w najlepszym wypadku dostanie za swoje dziesięć — piętnaście złotych. Daleko do siedemdziesięciu! Ale to będzie dobry prognostyk!

Konie ruszyły ze startu. Od samego prawie początku trójka wybiła się na czoło. Nie wysilając się, przyszła do mety pierwsza, pozostawiając inne konie daleko poza sobą. Po chwili ogłoszono wysokość wypłaty: 14 za 10.

Teraz miała się odbyć gonitwa piąta, najważniejsza z całego dnia, do której zapisanych było dwanaście koni. Staszek kupił program i z wprawą zawodowego bywalca wyścigowego zakreślał konie, które miały wziąć udział w biegu. Nagle, gdy zakreślał konia, oznaczonego numerem piątym, ręka jego zadrżała. Numer piąty, to była klacz gniada, przezwana „Luba“...

Luba! Tak przecież również nazywała się pierwsza jego klacz, na której jako dziesięcioletnie pachoły uczył się jeździć w dalekiej, rodzinnej Deiewni, na Ukrainie. Ukochana klacz, z którą łączyły go najmilsze wspomnienia dzieciństwa...

I teraz pamięta ją jeszcze doskonale. Półkrwi, własnego chowu, z słynnej na całą Ukrainę stadniny jego ojca, złoto-gniada, o dużych wilgotnych oczach gazel, spokojna i łagodna jak panienka, przywiązana do niego i do ręki przychodząca, jak pies na zawołanie, mimo poważnego wieku piętnastu lat, wciąż jeszcze w galopie niedościgła.

Snwały się dalekie, mgłą czasu osnute wspomnienia. Szły z nimi jakieś tajemnicze poszepty falujących łąnów zboża, jakieś poszumy bezkresnych stepów ukraińskich, ściskając serce bolesną tęsknotą. Wieleż to razy na owej Lubie przemierzał lotem ptaka te bujne stepy z wichrem idąc w zawody! Ach, Luba, Luba! Jakże smutny i tragiczny był jej koniec! Dzicz bolszewicka podpaliła stajnię dworską i Luba zginęła w płomieniach... Jeszcze dziś słyszę jej bolesne, rozpaczliwe rzenie, pełne skargi i grozy śmierci...

Przed trybunami przedefilowały konie w próbnym galopie. Na czele galopowała „Luba“, piękna, gniada klacz, trochę tylko wyższa i może mniej zgrabna od swej ukraińskiej imienniczki.

Staszek przecisnął się przez tłum do kas totalizatora. Zdecydowany był postawić na „Lubę“ całe pięćdziesiąt złotych. Przecież „Luba“ musi wygrać bieg, musi przyjść pierwsza! To nie ulegało żadnej dla niego wątpliwości! Zbliżył się gorączkowo do okienka totalizatora, przed którym stała jakaś młoda dziewczyna, skromnie lecz gustownie ubrana. Staszek ściskając nerwowo pieniądze w dłoni, czekał na swą kolejkę. Lecz pertraktacje owej panienki z urzędnikiem w kasie, przeciągały się nadmiernie. Staszek usłyszał urywki rozmowy:

— To absolutnie niemożliwe, proszę pani... Nie jesteście instytucją kredytową...

— Ależ to chodzi o jednego złotego!

— Więc pani chce, abym pokrył z własnej kieszeni?

Dziewczyna w szarym, angielskim kostiumie odwróciła się i spostrzegła naraz Staszka.

— Bardzo pana przepraszam — rzekła miłym, dzwięcznym głosem — ale to takie przykre...

— Może mógłbym pani w czymś pomóc?

— Widzi pan... — mówiła bardzo zakłopotana — Dostałam wspaniały typ na konia, który musi przyjść i chciałam postawić dziesięć złotych... Ale w ostatniej chwili przekonałam się, że mi brakujue jeden złoty... Musiałam widocznie gdzieś zagubić... A ten pan nie chce kredytować... Boże drogi, taki pech!

Staszek podał jej złotego z szarmanckim gestem.

— Służę pani...

— Ach, nie wiem, czy mogę przyjąć od pana — zasmusiła się.

— Taka drobnostka — śmiał się Staszek.

— Bardzo panu dziękuję... Zaraz po biegu, oddam panu...

Temu podziękowaniu towarzyszyło powłóczyście spojrzenie ślicznie oprawionych, prawdziwie szafirowych oczu.

— Pani oczywiście gra na „Lubę“? — zapytał.

— Ależ nie — odpowiedziała żywo. — Tylko szóstka, „Delice“, ma szanse...

— „Delice“? Bardzo wątpię, proszę pani!

— Tu nie ma co wątpić! To jest wiadomość całkiem pewna, pochodząca z kół dżokejskich... Słowo daję!

— A więc nie „Luba“?

— Tylko „Delice“! Szóstka! Może pan postawić na pewniaka, wszystko, co pan posiada!

Staszek jeszcze się wahał. Lecz w ostatniej chwili, gdy stał już przed okienkiem, wprost podświadomie, jakby nie swoim głosem, rzekł cicho:

— Pięćdziesiąt na szóstkę!

Zły był na siebie. Wydawało mu się to zdradą wobec „Luby“.

— Ha, to chyba jakieś przeznaczenie — pomyślał.

Staął znowu tuż przy rampie, na wprost mety, Dystans gonitwy wynosił teraz blisko dwa i pół kilo-

metrów, więc konie miały obiec tor dwa razy. Start trwał tym razem bardzo długo, z powodu dużej ilości koni; publiczność niecierpliwiła się. Wreszcie ostry dźwięk dzwonka przeszył powietrze i dokoła rozległ się szum głosów, wśród którego wybił się przeraźliwy okrzyk, tuż nad głową Staszka:

— Die bombe gajt!!

Konie ruszyły ze startu. Prowadził kilkoma długościami jakiś kasztan ciężki i masywny, a za nim rozsypały się inne konie, długim, barwnym węzem. Szóstka była w środku, natomiast „Luba“ gdzieś na szarym końcu. Na półmetku sytuacja zmieniła się gruntownie. Ciężki kasztan spuchł i włókł się całkiem w tyle. Na czoło wysunął się teraz szpakowaty „Fakir“ a za nim „Delice“, dochodząca go precyzyjnie, w szybkim tempie. „Luba“ była ósmą, mając poza sobą trzy konie. Gdy w pierwszym okrążeniu konie przebiegły przed trybunami, „Luba“ była wprawdzie pierwszą wśród maruderów, ale odległość między nią a czołową grupą zmniejszała się z każdą chwilą.

— Luba! Luba! — wołał z zapalem Staszek, zapominając, że postawił na innego konia.

— Fakir, Fakir! — odpowiedział mu głębokim basem sąsiad z prawej strony, tłukąc laską w barierę.

Jakiś zdenerwowany żydek szepnął Staszкови:

— Uj, jak ten Fakir przyjdzie, to ja jestem hrabia Potocki! Ja się pana pytam: dlaczego on ma przyjść? Dlatego, że ma cztery nogi? On jeszcze prędzej połamie te nogi, jak przyjdzie pierwszy! Pan to się zna na koniach! Tylko Luba musi przyjść!

Staszek spojrzał na niego z prawdzią sympatią:

— Pan mówi, że „Luba“ wygra bieg?

— Jak ona nie przyjdzie pierwsza — zapalił się życie jest piękne

żydek — to ja panu dam złoty zegarek! Nu, niech pan wypatruje! Widzi pan? Oj! Już dochodzi! Luba! Luba!

Lecz Staszek nic nie widział, bo zastawiła mu widok jakaś korpulentna dama, krzycząca w niebogłosey, jakby ją żywcem ze skóry obdzierali:

Z wielkiej emocji chwyciła Staszka kurczowo za ramię, przyciskając go do swego potężnego łona. Jednocześnie jakiś mały, niepozorny człowiek, blady jak papier, wsunął mu pod drugie ramię rozwichrzoną głowę i wrzasnął piskliwie:

— Bujda! Granda! Bujda!

Gdy Staszek zdołał na krótką chwilę rzucić okiem na tor, spostrzegł, że „Delice“ prowadziła pewnie i niezawodnie. „Fakir“ był drugim, a „Luba“... trzecią! Ponieważ odległość od mety wynosiła już tylko dwieście metrów, zwycięstwo „Delice“ zdawało się mrowane. W tej chwili czerwona parasolka korpulentnej damy znów zasłoniła Staszekowi widok. Dokoła tłum ryczał, jak rozszalałe, wzburzone morze, wywołując swych faworytów:

— Fakir!

— Delice!

— Luba!

Staszek odsunął energicznie czerwoną parasolkę i nagle zamarł z wrażenia i wielkiego wzruszenia. Oto w ostatniej chwili, na dziesięć może metrów przed metą, „Luba“ w jakimś wspaniałym zrywie dopędziła „Delice“ i miała ją na mecie o półtora długości.

Porwała go jakaś dzika radość, krzyczał, bił oklaski. Rozpromieniony żydek, obcierając pot z czoła, klepał go poufale po plecach.

— Nu, nie mówiłem, że „Luba“? A pan dużo sta-
wił?

Staszek nagle oprzytomniał.

— Ja stawiałem na „Delice“ — rzekł z rozpaczą w głosie, jakby przyznawał się do największej zbrodni.

— Uj, to szkoda! — cmoknął żydek. — Pocóż było stawiać na taką zwariowaną szkapę? Ale ja panu dam do następnej gonitwy, taki typ, że jak on nie przyjdzie, to pan mi może ręce i nogi połamać! Nu, robimy interes?

— Idź pan do diabła! — mruknął Staszek ze złością.

Powoli zdązał ku wyjściu. Przechodząc rzucił okiem na tablicę, gdzie wypisywano wyniki wyplat. Białą kredą na czarnym tle wypisane, odcinały się wyraźnie cyfry: Nr. 5 za 10 zł wypłaca 55!

— Psiakrew! — zaklął.

Po naprężeniu nerwowym czuł teraz wielkie zmęczenie i w ustach jakiś smak goryczy. Cóż teraz robić? Sytuacja wydawała się całkiem beznadziejna. Przy wyjściu z placu wyścigowego, posłyszał naraz miły i znany mu już głos:

— Proszę pana... Pan się na mnie bardzo gniewa?

Młoda dziewczyna w szarym kostiumie stała przed nim zmieszana, patrząc pokornie w jegog oczy.

— Wcale się nie gniewam — powiedział swobodnie.

— Bo pan przeze mnie przegrał! Gdyby nie ja! byłby pan stawiał na „Lubą“!

— Ha, trudno! To było mi dziś przeznaczone. Nigdy grać nie można na pewniaka! Ale niech pani nie martwi się! na przyszły raz odegramy się...

— To pan często chodzi na wyścigi? Bo ja jeszcze nigdy pana nie widziałam...

— Bardzo rzadko. Tylko w wyjątkowych wypadkach...



— Dziś był taki wyjątkowy wypadek?

— Tak... Dziś nie miałem innego wyjścia... Ale pani pozwoli, że się przedstawię: jestem Stanisław Ostrowski, dziennikarz...

— Krystyna Polańska, urzędniczka magistratu... Bardzo mi przyjemnie... Raz jeszcze dziękuję za pożyczkę... Jutro odeśle panu mój dług...

— Nie warto o tym mówić. Pani jeszcze zostaje na wyścigach?

— Nie. Zgrałam się do ostatniego grosza i wracam do domu.

— To może pójdziemy razem przez Aleje Ujazdowskie?

— Bardzo mi będzie miło. Pasjami lubię towarzystwo dziennikarzy i literatów... A pan również pracuje literacko?

— Owszem, w wolnych chwilach...

Pisze pan poezję?

— Och, teraz już nie...

— A więc powieści?

— Przeważnie nowele. Napisałem również sztukę sceniczną...

— O, to ciekawe! A kiedy premiera?

— Kiedy dyrektor pewnego teatru zdecyduje się na ryzykowny eksperyment wystawienia sztuki..., nieznanego autora, bez marki...

Usiedli na ławce w Alejach. O tej porze było tu prawie pusto. Po zgiełku i rozgwarze placu wyścigowego, dziwną wydała się im cisza, jaka ich teraz otaczała. Dokoła bezszelestnie opadały na ziemię płatki kwiatów kasztanów wirując w powietrzu jak bladoróżowe motylki. Z ogrodu Ujazdowskiego dochodził gwizd kosów i radosne nawoływania ziąb, gdzieś w mieście zegar wydzwaniał szóstą.

— Dziwna rzecz — powiedział nagle Staszek — oczy pani przypominają mi z czasów mego dzieciństwa błękit ukraińskiego nieba... Jest to jedyny błękit w swoim rodzaju...

— To pan pochodzi z Ukrainy?

— Z okolic Kijowa... Ale jako dziesięcioletnie dziecko uciekłem stamtąd przed bolszewikami. Zostały się tylko wspomnienia...

Okazało się, że i panna Krystyna Polańska pochodzi z kresów wschodnich, choć znacznie bliższych, bo z okolic Kamieńca Podolskiego. Czasów tych jednak zupełnie nie pamięta, bo miała wówczas zaledwie dwa lata, gdy ją rodzice do Polski wywieźli. Obecnie jest także sierotą. Również sama, o własnych siłach idzie przez życie... Chwilowo pracuje jako kancelistka w magistracie. Ha, cóż robić! Trzeba jakoś żyć... Z stosunków biurowych jest zadowolona. Koledzy, koleżanki, a nawet przełożeni całkiem sympatyczni. Tylko, że niestety grozi jej redukcja... Poza biurem nie ma żadnych znajomości. Nie ma też żadnych krewnych... Jest całkiem sama na świecie...

— Biedactwo — rozczulił się Staszek. — To tak trochę jak ja... Tylko, że ja mam dwóch strasznie miłych i kochanych przyjaciół, z którymi mieszkam razem... Ale z rodziny nikogo... Czasem, to jest bardzo przykre nie mieć własnego kąta, własnej zacisznej atmosfery rodzinnej, nikogo z prawdziwie bliskich, swoich... I tak już od kilkunastu lat...

— Tak, to jest bardzo przykre — powiedziała i szafirowe jej oczy zasnuły się mgłą smutku.

Staszek opowiadał jej o swym życiu. O dziecińskich latach, o wielkiej ciszy i błękitnej zadumie stepów ukraińskich, która mota dusze tęsknicą, już na całe życie. O „Lubej“ i o strasznych przejściach w cza-

sie rewolucji bolszewickiej. Czas mijał szybko, w Alejach zapanował zwykły, ożywiony ruch wieczorny, a oni tego nie spostrzegli, zajęci sobą. Było im jakoś dziwnie dobrze razem.

— Mam wrażenie, jak gdybym już znał panią bardzo dawno — mówił z uśmiechem, patrząc w jej śliczne i pełne wyrazu oczy.

Lecz gdy prosiła, aby jej jeszcze coś opowiedział o swych dwóch przyjaciółkach, Staszek nagle spochmurniał. Przypomniła mu się przykra rzeczywistość i nerwowo spojrzał na zegarek.

— Już pół do ósmej! — przeraził się. — Niestety muszę uciekać... Mam do załatwienia pewną bardzo nieprzyjemną sprawę... Ale spotkamy się jeszcze? Dobrze? Najlepiej niech pani kiedy zatelefonuje do redakcji... Bardzo o to proszę!

W chwilę później jechał tramwajem do miasta.

— Jaka szkoda — myślał, że nie spotkałem jej, którego innego dnia... A właśnie dziś... Niech diabli porwą wujka!

Starał się teraz już tylko myśleć o tej głupiej sprawie i zastanawiał się, jak z niej wybrnąć. Ostatecznie będzie musiał przedstawić swą legitymację dziennikarską i podpisać rachunek. Bardzo to nieprzyjemnie, ale nie ma innego wyjścia.

— A jeżeli nie zgodzą się — przyszło mu nagle na myśl. — Jeżeli zawezwą policję? To będzie dopiero ładny skandal kompromitacja na całej linii! Gdybym przynajmniej nie przegrał jeszcze tych pięćdziesięciu złotych!

Pełen niepokoju i złych przeczuć wszedł do restauracji i już z daleka spostrzegł Felka i Janka. Siedzieli wciąż w tej samej łoży i rozprawiali z ożywieniem, śmiejąc się głośno, tak głośno, że śmiech ich roz-

brzmiewał w całej restauracji. Na stole stała świeżo rozpoczęta butelka koniaka.

— Hallo, Staszek! — powitali wchodzącego głośnymi okrzykami radości.

Staszek nie reagując na te objawy radości usiadł przy ich stoliku i wymownym gestem wskazał butelkę koniaku.

— Zwarjowaliście? — zapytał ponuro.

Janek począł się śmiać bez troski:

— Mówiłeś, żeby trzymać fason! Więc stosujemy się do twego życzenia...

— Nie mogliśmy przecież siedzieć beczynnie! — dodał Felek.

— Ha, wobec tego i ja się napiję — rzekł Staszek z nagłą determinacją.

— Brawo! A więc masz flotę?

— Guzik! Naprawdę, słuchajcie, sytuacja jest strasznie głupia!

— Ech, co tam — powiedział Felek. — Dasz à conto te 50 złotych, a resztę zapłaci się innym razem. Jutro rano piszę do wujka ekspres.

— Ba! Żebym ja miał te 50 zł! — westchnął Staszek i w krótkich słowach opowiedział im dzieje niefortunnej wyprawy na wyścigi.

— To rzeczywiście, sytuacja jest głupia — zgodził się teraz Felek.

Zapanowało posępne milczenie. Nastrój pogorszył się jeszcze, gdy do stolika ich zbliżył się kelner.

— Prosiłbym o wyrównanie rachunku — rzekł chłodno — bo oddaję służbę wieczornej zmianie...

— Za chwilę — odpowiedział Staszek, nie tracąc równowagi. — Jeszcze dopijemy ten koniak...

Popijali w milczeniu koniak pełni myśli czarnych i ponurych. Nagle Felek zawołał:

— Mam myśl.. Dam po mordzie temu kelnerowi!

— Genialna myśl! I cóż z tego, że mu dasz po mordzie? — drwił Staszek.

— Zrobi się awantura. Zawezwą policję, zaprowadzą nas do komisariatu, spiszą protokół... W ten sposób upiecze się nam rachunek...

— Będziemy wtedy odpowiadać za dwa przestępstwa — ujął tę sprawę po prawniczemu Janek.

— A ja mu jednak dam po mordzie! — upierał się Felek. Zaciśnął olbrzymie pięści i patrzył z podełba na kelnera. Felek był czasem nieobliczalny, a gdy kto go sprowokował, wtedy wprost szalał. Na szczęście oddalił się do bufetu. Powoli, pusta dotychczas sala zaczęła się zapęlniać, a na estradzie pojawiła się orkiestra jazz-bandowa.

— Trzeba już raz z tym skończyć — zdecydował się nagle Staszek.

Chciał właśnie sknąć na kelnera, aby ostatecznie z nim się rozmówić, gdy naraz wzrok jego przykuł elegancki młodzieniec w towarzystwie przystojnej, sztywnie ubranej damy, który właśnie wszedł na salę i szukał stolika. Na ten widok Staszka aż poderwało.

— Hurra, wszystko będzie w porządku! — zawołał.

— Któż to taki? — zapytał Janek.

— Mój kuzyn, Jurek hrabia Topolski — odpowiedział Staszek z odcieniem mimowolnej dumy.

— I cóż z tego? — skrzywił się pogardliwie Felek.

Lecz Staszek nie odpowiedział i zobaczywszy, że Topolski ulokowawszy swą damę, stoi sam przy bufecie, podszedł do niego. Hr. Topolski był jego bardzo bliskim kuzynem, gdyż synem brata matki. Niegdyś majątki ich sąsiadowały na Ukrainie i Jurek był to-

warzyszem zabaw dziecinnych Staszka. Razem również uciekali do Polski. Topolskim udało się przeżyć nieco kosztowności i ze sprzedaży tychże utrzymywali się w Warszawie. Potem Staszek kolegował z Jurkiem na uniwersytecie. Fundusze Topolskich wówczas już się wyczerpały i Jurek przechodził ciężkie chwile, nie potrafiwszy tak jak Staszek walczyć o byt, iść o własnych siłach przez życie. Często wtedy Staszek dzielił się z nim ostatnim groszem. Zupełnie niespodziewanie Topolski odziedziczył po dalekim kuzynie olbrzymi majątek ziemski pod Warszawą, koło Pruszkowa. Przerwał wówczas studia i wyjechał za granicę. Staszek stracił z nim wszelki kontakt. Potem podobno osiadł ze starą matką w swym oddziedziczonym majątku pod Pruszkowem, lecz Staszek stracił go zupełnie z oczu i dopiero teraz, po siedmiu latach zobaczył go po raz pierwszy.

Topolski poznał go zaraz i twarz jego rozjaśniła się radosnym uśmiechem.

— Servus, Staszek, jak się masz stary chłopie! — wołał biegnąc ku niemu z wyciągniętymi ramionami.

Długo i serdecznie ścisnął go i wycałowywał.

— Co się z tobą dzieje, Staszku? Już kilka lat szukam cię po Warszawie i znaleźć nie mogę... Myślałem, żeś wstąpił do klasztoru! Ale jednak góra z górą się zejdzie czasem... Chodź do mego stolika. Przecież trzeba oblać to spotkanie!

— Z kim ty jesteś?

— Moja ostatnia flama... Nie poznajesz? Przecież to nasza najsłynniejsza gwiazda filmowa Wera Marteni...

— Ach prawda! Nie poznałem...

— Zaraz cię przedstawię... Bardzo miła i wesoła osóbka...

Życie jest piękne

— Kiedy ja jestem w towarzystwie dwóch młodzieńców...

— To chodźcie wszyscy razem do nas!

— Widzisz, jest jeszcze jedna bardzo przykra sprawa. Musisz wiedzieć, że spadłeś nam tu, jak z nieba...

— Mów ze mną szczerze, Stachu! Pewnie zabrakło wam pieniędzy na zapłacenie rachunku?

— Jesteś chyba jasnowidzem!

Gdy Staszek opowiedział mu historię z wujkiem z Częstochowy i wyprawę na wyścigi, zakończoną niepowodzeniem, Topolski zaczął się głośno śmiać:

— A to was ładnie ten wujko urządził! Ale nie sobie z tego nie rób! Chodźcie do nas, a ja każe wpisać wasz rachunek do mego...

— Zwrócę ci w tych dniach.

— Ot, głupstwo! A tyś mnie przecież nie jeden raz z opresji ratował! Wiesz co, zamówię gabinet osobny. Tam nam będzie swobodniej...

Janek przyjął propozycję Topolskiego z entuzjazmem, lecz Felek się wzdrygał:

— To nie dla mnie takie hrabiowskie towarzystwo!

Dał się wreszcie nakłonić i poszedł do gabinetu bardzo godny i posepny.

Wera Marteni przyjęła ich bardzo uprzejmie, zwróciwszy zwłaszcza uwagę na Janka, który był istotnie ślicznym chłopcem. Potrafiła swym naturalnym zachowaniem i ogromną werwą wnieść w towarzystwo wesół nastrój, tak, że nawet Felek powoli się rozruszał. Czasem nawet śmiał się, wydając przy tej sposobności jakieś dziwne, gardłowe rechotanie i krzywiąc przeraźliwie twarz.

Jak się Felek czasem śmieje — opowiadał Staszek — to w całej naszej dzielnicy psy wyją...

— A raz, gdy się roześmiał na ulicy — dodał Janek — przechodnie zaczęli uciekać, bo myśleli, że to jakaś kamienica się wali...

— Ot, dowcipny! — mruknął Felek.

Janek siedząc na kanapie obok gwiazdy filmowej wprost promieniał urokiem młodości i radości życia. Z oczu sypały mu się złote skry, ponsowe, ślicznie zakrojone usta odsłaniały w uśmiechu rząd białych, lśniących zębów. Śmiał się beztrosko, opowiadał coś z niesłychaną werwą, to znów nucił najnowsze przeboje. Wera Marteni była szczerze zachwycona jego głosem.

— Pan ma śliczny, liryczny głos tenorowy! To jest przecież prawdziwy skarb! No i z pańskim wyglądem, że pan dotychczas nie występował w filmie!

— To jest moim marzeniem! — westchnął Janek.

— Ja pana muszę wkręcić do filmu — zapaliła się Marteni. — W przyszłym miesiącu przyjeżdża do Warszawy słynny reżyser filmowy z Hollywood... Polak z pochodzenia... Chodzi o nakręcenie filmu na motywach polskich... Mam w nim główną rolę... Wie pan co? Poproszę tego reżysera, aby pana zaangażował na mego partnera!

— Strasznie będę pani wdzięczny!

— A więc napijmy się na pomyślność naszej przyszłej współpracy filmowej!

Tymczasem Staszek rozmawiał z Topolskim. Wspominali dawne lata dziecinne w Derewni spędzone. Każdy, najdrobniejszy szczegół tych wspólnych przeżyć, miał dla nich niewysłowiony urok. To była ich najpiękniejsza przeszłość, której późniejsze życie nie zdołało wymazać z ich serc. Potem przypominali różne przeżycia z czasów uniwersyteckich. Topolski opowiadał o swych podróżach za granicę, o gospodarstwie w oddziedziczonej Topolnicy.

— Wiesz co — rzekł nagle. — A ja jednak żałuję tych czasów uniwersyteckich, mimo, że nieraz goły byłem jak turecki święty... To było piękne życie...

— Niewątpliwie... Ale przecież i dziś jesteś zadowolony z życia?

Topolski nagle spochmurniał.

— Dużo o tym można by pomówić — rzekł cichym, jakby zmęczonym głosem. — Ale nie dziś! Dziś weselmy się!

Dowiedziawszy się, że Felek jest lotnikiem, wszczął z nim ożywioną dysputę o jego wynalazku.

Staszek przysłuchiwał się z roztargnieniem ich rozmowie, pogrążony w jakimś błogim pół-snie. Było mu dobrze i dziwnie radośnie. Chwilami musiał się wprost powstrzymywać, aby tej radości, która rozsadzała mu serce, nie wyrazić jakimś okrzykiem. Prześliczne, ciemno-szafirowe oczy, koloru ukraińskiego nieba, uśmiechały się do niego, wśród obłoków tytoniowego dymu. Ogarnęła go niespodziewanie tęsknota do tej prawie że nieznanej dziewczyny z placu wyścigowego.

— Takie samotne biedactwo, jak i ja — zatkliwiał się w myśli. — Cóż ona teraz porabia? Krysiu... Moja śliczna Krysiu...

Panna Marteni przetańczywszy z Jankiem, zwróciła się do Felka:

— Już od godziny rozprawia pan ciągle o maszynach! — Jakże to można! Chodź pan lepiej zatańczyć!

— Kiedy ja nie umiem tańczyć...

— No to napijmy się wina!

— Napić się możemy...

I Felek skrzywił się okropnie, co było u niego oznaką wielkiej radości, po czym rzekł grzmiącym besem:

— Psiakrew! A jednak, proszę pani, życie jest piękne!

III.

Strajk zecerski zakończył się i Staszek po kilkuniedniowej przerwie powrócił do swej pracy dziennikarskiej. Do obowiązków jego należało, poza kierownictwem działu reporterskiego, napisanie tygodniowego felietonu w numerze niedzielnym i w razie potrzeby dostarczanie nowelek, którymi się zapychało ostatnią stronę.

W tym wirze pracy dziennikarskiej, Staszek znalazł jeszcze dość czasu, na napisanie sztuki teatralnej. Był to fantastyczny reportaż dramatyczny w dziesięciu odsłonach. Zachęcony przez naszego krytyka teatralnego, zdecydował się złożyć swój dramat dyrektorowi pewnego teatru. Wszystkie perypetie z tym krokiem związane, mogłyby się złożyć za osnowę do nowego dramatu, a raczej tragi-farsy. A było to tak:

We dwa miesiące po złożeniu rękopisu został dopuszczony przed groźne oblicze pana dyrektora. Rękopis leżał na biurku, a palce dyrektorskie bębniły po nim nerwowo.

— Więc to pan napisał? — zapytał dyrektor teatru, tonem sędziego śledczego.

— Przyznaję się... Tak, to ja! — odpowiedział skruszony.

— No tak.. Domyślałem się...

— Czy mogę wiedzieć, jakie jest zdanie pańskie o mej sztuce?

— Niestety nie mogę ocenić rzeczy nieprzeczytanej...

— A więc pan dyrektor jeszcze nie przeczytał! Po dwóch miesiącach...

— Och, kochany autorze! Pan myśli, że pan jeden pisze sztuki teatralne? I że ja, poza czytaniem rękopisów, nie mam nic innego na głowie?

— Więc kiedy mogę mieć nadzieję?

— Niech pan przyjdzie za miesiąc.

Po miesiącu oświadczone mu w sekretariacie, że pan dyrektor przyjąć go nie może, bo kieruje właśnie próbą najbliższej premiery. Najlepiej, niech się „pofatyguje“ po premierze, t. j. za miesiąc. W oznaczonym przez sekretarza terminie, Staszek zjawił się w teatrze. Spotkał się z dyrektorem całkiem przypadkiem, na korytarzu, przed kancelarią. Zaskoczony dyrektor rzucił dokoła wzrokiem, jakby szukając najłatwiejszej ucieczki, lecz zorientowawszy się, że mu się to nie uda, przybrał bolesny wyraz twarzy.

— Pan w sprawie swej sztuki? — zapytał szep-tem.

— Tak, panie dyrektorze....

— Niestety, źle pan trafił... Wracam właśnie z pogrzebu rodzonej ciotki... Rozumie pan, żałoba rodzinna...

— Oczywiście... Wobec tego przyjdę kiedy indziej.

— Najlepiej, niech pan przyjdzie za miesiąc... Bo pojutrze rozpoczynamy próby nowej komedii... Tak panie redaktorze, teatr to straszny kierat...

Staszek przyszedł dopiero za dwa miesiące, bo tymczasem pan dyrektor, jak mu powiedziano w sekretariacie, chorował na grypę. Wprawdzie chodził z tą grypą do teatru, ale przecież byłoby niedelikatnością napastowywać osobistymi sprawami człowieka chorego. Ostatecznie Staszek został przyjęty pod sam koniec sezonu teatralnego. Dyrektor powitał go z tryumfalną miną:

— A widzi pan! Dotrzymałem słowa i mimo nawału pracy, przeczytałem w terminie pańską sztukę...

— I cóż pan dyrektor o niej sądzi? — zapytał Staszek drżącym ze wzruszenia głosem.

Dyrektor uśmiechnął się łaskawie i poczęstował go papierosem.

— Hm, co ja sądzę — rzekł wreszcie po chwili milczenia. — Jeżeli mam być szczery, to sztuka pań-

ska ma jedną kardynalną wadę: jest polska! Wyrób krajowy, to nie dla naszej publiczności. Przyznaję jednak, że sztuka jest oryginalna i ma walory artystyczne i sceniczne... Można by ją wystawić...

— Więc pan dyrektor reflektuje na wystawienie?

— Zasadniczo, tak!

— Kiedyż spodziewać się można premiery?

— Och, pan w gorącej wodzie kąpany! — zaśmiał się łaskawie dyrektor. — O terminie wystawienia mówić jeszcze nie można... Dziś jeszcze nie wiem właściwie, co wystawię za dwa tygodnie! Zależy to od tytu okoliczności, drogi panie! W każdym razie, rzecz byłaby aktualna dopiero w przyszłym sezonie ...

Od owej rozmowy minął właśnie rok. Sztuka Staszka, „zasadniczo przyjęta“, do tej pory tkwiła jeszcze w biurku dyrektorskim. Gdy w ciągu tego roku, zniecierpliwiony Staszek chciał wycofać rękopis, dyrektor udawał obrażonego:

— Więc pan nie ma do mnie zaufania?

— Ależ mam! Tylko myślałem, że pan dyrektor już zrezygnował z wystawienia...

Na tym sprawa się skończyła. Mimo kilkakrotnych usiłowań, nie udało się już więcej Staszкови zobaczyć dyrektora. Zawsze na przeszkodzie stawały jakieś próby, posiedzenia, konferencje, lub grypy. Wreszcie zrezygnował i przestał się interesować losem swej sztuki.

W ostatnich czasach mało zajmował się pracą literacką. Objął bowiem w redakcji sekretariat, w zastępstwie chorego kolegi i miał teraz roboty powyżej uszu. Naczelny redaktor, pan Maciaszek, uważał za swój obowiązek redaktorski spędzać w redakcji dnie i noce i miał za złe swym podwładnym, jeżeli go w tym nie naśladowali. Przychodził do redakcji już o ósmej rano i sprawdzał, czy wszyscy współpracownicy są obecni. Obiad zajmował mu najwyżej godzinę czasu.

Od trzeciej tkwił znowu na posterunku. Wieczorem, około dziewiątej wpadał na pół godzinki do najbliższej kawiarni i zaraz znowu wracał. Dopiero punktualnie o północy pozostawiał redakcję i drukujący się numer, pod opieką nocnego redaktora i szedł do domu. Czasem jednak, jeszcze stamtąd telefonował, wydając jakieś dodatkowe dyspozyceje.

Zdawał się czuć dobrze jedynie w redakcji, wprost rozkwitał w atmosferze, przepojonej dymem tytoniowym i farbą drukarską, biegając gorączkowo od swego gabinetu do zecerni, stąd do korektorni, wpadając jak bomba do ogólnego pokoju współpracowników i wracając znów do swego biurka, aby po kilku minutach rozpocząć ponownie ten „bieg okrężny“, jak nazywał to Staszek. Sam pisał artykuły wstępne, bombastyczne i napuszone, mniej więcej w tym rodzaju:

„Już po raz drugi nawołuję pana, panie Lloyd George do zmiany polityki w sprawie polskiej, a pan na to nie reaguje! Nie, tak dalej być nie może, itd.“

Przez ręce jego przechodziła każda najdrobniejsza notatka redakcyjna, poczynawszy od komunikatów meteorologicznych. Nie chodziło mu nigdy o treść, lecz jedynie o formę, która musiała być koniecznie wzorowana na jego stylu. Wydawcy „Dziennika“ pragnęli już dawno pozbyć się go, ale musieli go tolerować dla dość dużych wpływów, jakie miał w stronnictwie.

Maciaszek nie lubił Staszka. Głównie z powodu jego szlacheckiego pochodzenia, a trochę i dla jego literackich aspiracyj. A że pochodził sam z chłopów i mimo kilkoletniego pobytu w Paryżu, gdzie był korespondentem pewnego warszawskiego pisma, nie nabrał dostatecznej kultury, więc tej swojej antypatii ukryć nie potrafił. Nie mógł mu jednak nigdy nie konkretnego zarzucić, gdyż Staszek spełniał **zawsze**

sumiennie swe obowiązki i fakt ten pogłębiał tylko jego niechęć.

Może w tydzień po słynnym wieczorze z Topolskim, Staszek połączył się telefonicznie z magistratem, prosząc do telefonu pannę Polańską. Odpowiedziano mu, że panna Polańska od dwóch dni nie pracuje już więcej w magistracie. Dostała podobno posadę w jakimś prywatnym przedsiębiorstwie. Nieznany był również jej adres prywatny.

Tego dnia po południu, Staszek poszedł na wyścigi konne. Nie grał tym razem, nie interesował go bieg koni. Wmieszał się w tłum zakrzyczany, obszedł kilkakrotnie cały plac dokoła, zajrzał na trybuny, przez dłuższą chwilę stał przed kasami totalizatora. Wszędzie wypatrywał smukłej, dziewczęcej sylwetki w szarym kostiumie, o niezapomnianych oczach koloru ukraińskiego nieba. Setki kobiet ładnych i szykownych przesuwaly się przed nim, lecz wśród nich nie było tej, której pragnął, nie było panny Krysi. Wreszcie zniechęcony powrócił do domu.

Z chwilą, gdy uświadomił sobie, że spotkanie jego z panną Polańską zależy już tylko od jakiegoś przypadku, od strasznego zbiegu okoliczności, tym żywsze stało się pragnienie zobaczenia jej jak najprędzej. Czasem w wirze pracy redakcyjnej majaczyła mu niespodziewanie przed oczyma jej zgrabna sylwetka, czasem na ulicy wydawało mu się, że ją widzi, w tłumie przechodniów, aby zaraz potem przekonać się o swej omyłce. Gdy zwierzył się raz Felkowi ze swej przygody i daremnych poszukiwań, tenże pokiwał nad nim głową z ubolewaniem:

— Z kobietami to tak zawsze! Nie patrzysz na te, które są, a pożądasz tej, której nie ma! A ja ci dam

dobrą radę: dziś jest niedziela i masz wolne popołudnie...

— Mam i nie wiem co z czasem zrobić...

— Jedź ze mną na lotnisko. Mam dziś lot treningowy i zabiorę cię jako pasażera.

— Świetnie!

— Lepiej pobujać trochę w obłokach niż szukać na ziemi jakiejsź dzierlatki i to bezskutecznie!

Felek był wiceprezesem Akademickiego Klubu Lotniczego i jednocześnie jako pilot dyplomowany, porucznik-lotnik rezerwy, był instruktorem młodych adeptów lotnictwa. Niedawno właśnie Klub otrzymał od wojskowości nowy samolot i Felek mógł na nim odbywać loty ćwiczebne.

Gdy Staszek siedział już w samolocie wojskowym, na miejscu obserwatora, zapinając pas, Felek naciągał tymczasem powoli lotniczy kombinezon.

— Latałeś już? — zapytał nieufnie.

— Jedynie na cywilnych samolotach komunikacyjnych...

— Ech — Felek skrzywił się pogardliwie — to tak jakbyś nie latał wcale.

— Tylko pamiętaj: nie mam zamiaru skreślić karku!

— Nie zależy mi na twym karku, tylko na aparacie, za który odpowiadam!

Wystartowali gładko. Po kilku okrążeniach nad Warszawą, strzałka wysokościomierza wskazywała 800 m. Felek skierował teraz aparat w stronę Dębłina. Lecieli wzdłuż Wisły, wznosząc się co raz wyżej. Staszek wychylony poza burzę, obserwował statek pasażerski, płynący środkiem rzeki, a wyglądający z tej wysokości, jak dziecinna zabawka, gdy nagle poczuł uderzenie w ramię. Felek, odwróciwszy się ku niemu, krzychał mu coś wprost do ucha. Zrozumiał jedynie, że pyta się, czy pas zapięty, i skinął potakująco. Fe-

lek, wyciągnawszy rękę poza siebie, sprawdził to dokładnie, po czym krzyknął coś jeszcze, lecz Staszek już go nie rozumiał. Odniósł tylko wrażenie, że z samolotem dzieją się jakieś dziwne rzeczy. Oto nagle niebo uciekło gdzieś przed nim w tył, a na jego miejsce przesunęła się ziemia. Całkiem wyraźnie ujrzał nad swoją głową zieloną szachownicę pól i łąk i ów statek na Wiśle, na którego pokładzie poruszali się ludzie, jak małe mrówki. Natomiast błękitne niebo rozciągało się pod jego stopami, jak bezmiar oceanu. Trwało to jednak tak krótko, że zanim Staszek zorientował się w sytuacji, niebo unosiło się znów nad jego głową. Spostrzegł, że Felek go obserwuje, uśmiechając się figlarnie. Po tym pierwszym „loopingu“, nastąpiły wnet inne. Potem znów „beczki“, „korkociągi“, ześlizgi na skrzydła...

Po każdej takiej akrobacji, Felek odwracał się i błyskał w uśmiechu wilczymi zębami. Stawał się w powietrzu jakby innym człowiekiem. Znikła straszliwa ponurość z jego oblicza, oczy śmiały się radośnie, wprost wypiękniał. Nikt by nie odgadł w tym zwinnym sokole — niezgrabnego, ciężkiego niedźwiedzia, jakim był Felek na ziemi.

Ta jego beztraska, odwaga i pewność siebie, udzieliła się i Staszкови. Po raz pierwszy też w swym życiu poczuł prawdziwy urok i rozkosz lotu. Gdy samolot dotknął wreszcie kołami lotniska i potoczył się ku hangarom, rzekł z żalem:

— Szkoda, że to już koniec! Wspaniale było!

— Dobrześ się trzymał! — pochwalił Felek.

Wieczór spędzili razem. Staszek miał wyjątkowo „grubszą“ flotę, gdyż zainkasował poprzedniego dnia honorarium za nowelkę w pewnym tygodniku literackim, i zaprosił Felka na kolację. Północ biła w mieście, gdy wracali do domu. Szli w milczeniu, przez Aleje Ujazdowskie, nie spiesząc się, jakby prze-

żywając raz jeszcze wrażenia podniebnego lotu i rozkoszując się urokiem ciepłej, wiosennej nocy, roziskrzonych gwiazdami i przesyconej zapachem bzów. Rozmowny był jedynie poeta. Stefan Mączek, przedstawiciel najmłodszej grupy poetów „Zrywu“, który przyłączył się do ich towarzystwa jeszcze w knajpie i teraz, po kilku większych wódkach, mówił za trzech. Rozgoryczony był na cały świat, który nie potrafił poznać się na nim i dowodził bezcelowość pisania i życia. Wreszcie zniecierpliwiony Staszek prze-rwał jego żalosne wywody:

— Nie gadaj nic o bezcelowości pracy literackiej! Bo, aby dojść do takiego wniosku, trzeba naprawdę coś robić, trzeba coś pisać! A ty i cała twoja sławetna grupa poetycka marnuje czas na jałowych dyskusjach w knajpie, rozprawiacie o nowych drogach w literaturze i cała wasza działalność kończy się na tej pustej gadaninie! Cholera człowieka bierze, gdy na was patrzy! Poeci od pół czarnej, z pustką w kieszeni, w żołądku i głowie! Weźcie się już raz do solidnej pracy, a wtedy przekonamy się, czy macie naprawdę talent, czy macie prawo zabrać głos w sprawach literackich! A jeżeli który z was talentu nie ma, to już najwyższy czas, aby zabrał się do jakiej innej, uczciwej pracy, a nie zatruwał atmosfery swym próżniactwem i pesymizmem.

— Zdaje się, że nie zrozumiemy się nigdy — powiedział poeta z miną obrażoną i pożegnawszy się chłodno, skręcił w boczną ulicę.

— Dumny bubek — mruknął za nim Felek.

Dochodzili już do ulicy Pięknej, gdy spostrzegli naraz wybiegającą z tej ulicy jakąś kobietę, która zobaczywszy ich, zwróciła się ku nim. W odległości kilku kroków za nią szli dwaj młodzieńcy, głośno się śmiejąc i coś wykrzykując. Nieznajoma zatrzymała się i rzekła głosem drżącym ze zdenerwowania:

— Proszę panów o obronę przed tymi dwoma nątrętami...

Staszek drgnął na dźwięk tego głosu, który wydał mu się znajomym. W chwili, gdy na twarz nieznanego padło światło latarni ulicznej — poznał pannę Polańską.

— Co za spotkanie! — zawołał zdumiony.

— Ach, to pan! — rzekła panna Polańska, nie mniej zdziwiona. — Co za szczęście, że właśnie pana spotykam! Miałam dziś dyżur w biurze i wracałam do domu, gdy tych dwóch panów beczelnie mnie zaczepiło...

— Może być pani spokojna w naszym towarzystwie — powiedział Staszek, spojrzawszy groźnie na nadechodzących młodzieńców.

Lecz na ich spotkanie ruszył już powoli, milczący dotychczas Felek.

— A panowie czego chcą od tej pani? — zapytał słodkim głosem.

— Cóż to pana obchodzi? — odpowiedział buńczucznie jeden z zapytanych.

Wtedy Felek błyskawicznym ruchem pochwycił obu za kołnierze marynarek i podniósłszy jednocześnie w górę, wytrząsał przez chwilę niemiłosiernie, mówiąc ponuro:

— A właśnie, że mnie obchodzi! Bardzo obchodzi.

Potem jednym pchnięciem odrzucił ich od siebie.

— A teraz poszł won, pókim dobry — rzekł jeszcze, uśmiechając się już dobrotliwie, podczas gdy młodzieńcy, oszołomieni i przerażeni, podnosili się z ziemi, otrzepując ubranie z kurzu. Potem szybko oddalili się, znikając w ciemnej ulicy.

Panna Polańska, obserwując tę scenę, która rozegrała się w ciągu kilkunastu sekund, patrzyła na Felka, ze szczerem podziwem.

— Ależ pan silny! Serdecznie panu dziękuję...

— Pozwoli pani — powiedział Staszek — że jej przedstawię tego ciężkiego atletę. To jest pan Feliks Rak, mój przyjaciel, o którym pani już wspomniałem.

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana. Może panowie będą jeszcze tak łaskawi odprowadzić mnie do domu?

Po drodze panna Polańska usprawiedliwiała się, że dotychczas nie oddała jeszcze długu, z wyścigów.

— To drobnostka — śmiał się Staszek. — Grunt, że panią znów spotkałem. Bo moja ekspedycja do magistratu nie udała się. Powiedziano mi, że pani tam już nie pracuje...

— Tak, od dwóch tygodni pracuję w centrali telefonów... Właśnie dziś miałam tam dyżur nocny...

— Jeżeli pani miała dziś dyżur nocny, to jutro ma pani zapewne wolne przedpołudnie?

— Tak, do czwartej jestem wolna. Ale dlaczego pan o to pyta?

— Bo chciałby zobaczyć się z panią..

— Wolne ranki spędzam zawsze nad Wisłą, w przystani Akademickiego Związku Sportowego. Pływam i kajakuję...

— To się świetnie składa. Jestem członkiem Akademickiego Związku Sportowego.

— Pływa pan?

— Oczywiście...

— Niech pan jutro wpadnie na przystań...

— Mam dwie wolne godziny, od jedenastej do pierwszej.

— Więc czekam na pana. A teraz raz jeszcze dziękuję za odprowadzenie... Mieszkam tu, w tej kamienicy...

Gdy stróż zamknął bramę za panną Polańską, Felek stał dłuższą chwilę w milczeniu, nie ruszając się z miejsca.

— To ty znasz tę panią? — zapytał wreszcie, jakby przytomniejąc.

— Nie znam — śmiał się Staszek.

— Hm... W każdym razie masz dobry gust.

Aż do domu nie powiedział już ani słowa, od czasu do czasu tylko głęboko i żałośnie wzdychając.

Nazajutrz, gdy Staszek zjawił się na przystań, panna Polańska już tam plażowała. W kostiumie kąpielowym nie była tak szczupła, jak się Staszekowi dotąd wydawała, tylko drobna, lecz bardzo pięknie zbudowana. Po przywitaniu skoczył zaraz do kabiny, aby się przebrać. Panna Polańska powitała go, gdy wrócił, wybuchem śmiechu.

— Błada twarz! Widać zaraz, że pan stroni od słońca! Przy panu wyglądam jak murzynka!

Była istotnie ślicznie i jednostajnie na bronz opalona i wyglądała jak posągowe uosobienie młodości, radości i piękna.

— Pójdziemy do wody? — zapytał Staszek, trochę speszony swą „bladą“ skórą.

— Chodźmy! — odpowiedziała wesoło, zerwawszy się jednym susem.

Wskoczyli razem do wody. Lecz panna Polańska doskonała pływaczka wyprzedziła go wnet o kilka metrów. Pływała prawidłowym „crawlem“, zgarniając wodę rytmicznym ruchem zgrabnych, silnych ramion i oddalając się coraz bardziej, mimo wysiłków Staszka, który chciał ją dogonić. Podrażniony był w swej ambicji sportowej, lecz widział bezcelowość swych wysiłków. Toteż wkrótce zrezygnował z walki i położył się na wygrzanej słońcem wodzie.

— Już pan spuchł? — zapytała wesoło, przypływając do niego.

— Nie mam treningu — odpowiedział nieco kwaśno. — Dziś po raz pierwszy jestem w wodzie w tym

sezonie... Ale pani mogłaby śmiało stanąć do zawodów pływackich...

— Woda to mój żywioł! Ale przyznam się panu, że pływanie to właściwie jedyny sport, który uprawiam przyzwyczajcie.

Nasycone słońcem fale kołysały ich pieśczośliwie. Błękit nieba zdawał się zniżać ku nim i łączyć z wodą w jedną nieskończoność, pełną złocistych blasków.

— Na pierwszy raz będzie dość dla pana — powiedziała nagle apodyktycznie. — Wracajmy do przystani!

Płynęli teraz powoli, obok siebie, śmiejąc się i żartując beztrąsko. Na przystani, prócz nich, nie było nikogo. Jedynie na drugim brzegu Wisły, piaszczysta plaża miejska roiła się od barwnych kostiumów kąpiących się tłumów. Dochodziły stamtąd wesołe okrzyki i piski dzieci oraz dźwięki orkiestry plażowej.

Ogarnęło ich jakieś rozleniwienie. Położyli się na drewnianym pomoście, w gorących promieniach południowego słońca.

Panna Polańska pierwsza przerwała tę słoneczną sjęstę.

— A teraz przejedziemy się kajakiem — zaproponowała, zrywając się nagle.

Popłynęli w górę rzeki i dopiero za mostem Poniatowskiego zawrócili, odkładając wiosła i dając się nieść prądowi wody.

— O czym pan teraz myśli? — zapytała.

— Myślę o pewnym pocie, z którym wczoraj dyskutowałem...

— Ach, to musiała być bardzo interesująca rozmowa, skoro pan o niej nawet teraz myśli — rzekła nieco ironicznie.

— Wcale nie. Ten poeta, to zawodowy pesymista, dekadent, który dowodził mi, że życie jest nic nie warte...

— A pan był innego zdania?

— Oczywiście. Teraz zaś widzę, jak jeszcze nigdy, że miałem rację... Bo czyż nie warto żyć? Czyż życie nie jest wspaniałe, wprost bajkowe?

Popatrzyła na niego, uśmiechając się.

— Tak, ma pan rację... Życie jest czasem piękną bajką...

Tymczasem dopłynęli do przystani. Przelotne spojrzenie na zegar, umieszczony na wieżyczce przystani, przekonało Staszka, że najpiękniejsze nawet chwile nie trwają wiecznie. Zbliżała się pierwsza, na którą miał zamówiony wywiad z pewnym dygnitarzem miejskim. Musiał więc pożegnać pannę Polańską, zaprosiwszy ją na dzień następny do teatru.

Reszta dnia upłynęła mu na nieprzerwanej pracy. Zaledwie skończył w redakcji artykuł-wywiad z dygnitarzem miejskim i oddał go do składania w zecerni, zawiadomił go telefonicznie zaprzyjaźniony z nim komisarz policji, że w dzielnicy robotniczej na Woli w jednej z fabryk wybuchł strajk okupacyjny, i że w związku z tym komuniści zwołali nielegalny wiec, który policja zamierza rozwiązać. Komisarz radził mu pojechać niezwłocznie na teren zajść. Staszek z redakcji udał się wpierw do domu, gdzie zastał jeszcze Janka i Felka.

— Chłopcy — zawołał — bierzcie czapki i chodźcie ze mną!

— Dokąd? — zapytali jednocześnie przyjaciele.

— Na Woli komuniści urządzą jakąś ruchawkę. Pojedziemy to zobaczyć.

— Dobrze!

Na Nowym Świecie wsiedli do tramwaju. Dzień był straszliwie upalny i duszny. Przez otwarte okna wozu tramwajowego wpływało gorące powietrze, przesycone kurzem ulicznym, wyziewami benzyny i dziegciu.

— Gdzieś się tak opalił Staszku? W jakiej knajpie, czy w redakcji? — zapytał Janek.

— Byłem nad Wisłą i plażowałem.

— Sam?

— Nie, w towarzystwie — odpowiedział Staszek wymijająco.

Dojechawszy na Wolę, wysiedli z tramwaju. Ulicami szły patrole policyjne, uzbrojone w karabiny, z nasadzonymi bagnetami. Spotkali także grupki robotników, czy też bezrobotnych, rozprawiające zżywieniem. Na widok policji cofali się w boczne uliczki lub bramy domów. Na terenie strajkującej fabryki panował chwilowo spokój, po dwukrotnym rozwiązaniu przez policję wiecu na podwórzu. A jednak w całej tej dzielnicy wyczuwać się dawał jakiś burzliwy nastrój, naładowany elektrycznością. Burza wisiała w powietrzu i mogła lada chwila wybuchnąć.

Staszek wskazał na szyld narożnego szynku z napisem: „Bar Krakowski“.

— Tu spotkamy ciekawe typy! Chodźcie na piwo.

— Wspaniały lokal — zaśmiał się Janek.

Weszli do brudnego, zadymionego lokalu. Za blaszonym szynkwasem stał właściciel szynku, rudy Żyd o skośnym, niespokojnym spojrzeniu.

— Panowie życzą? — zapytał, obserwując ich badawczo.

— Trzy duże piwa — zamówił Staszek.

Usiedli przy małym stoliku, obok bufetu. W najbliższym ich sąsiedztwie liczne towarzystwo, popijając wódkę i zagryzając ogórkiem. Pięciu czy sześciu wyglądało na robotników. Niektórzy mieli nawet na

sobie niebieskie bluzy robotnicze, jakby dopiero przed chwilą opuścili warsztaty fabryczne. Dalej natomiast wystrojeni byli jak typowi podmiejscy eleganci: w jaskrawo żółte buty i czarne garnitury. Oni to zapewne fundowali wódkę towarzystwu, gdyż zachęcali głośno do picia, a gdy butelka „czystej“ opróżniła się, zamówili drugą. Twarze ich zdradzały wybitnie semickie pochodzenie.

— Agenty bolszewickie — szepnął Staszek.

Lecz pożałował swej uwagi, gdyż Felek natychmiast zmarszczył się groźnie i począł natarczywie i prowakacyjnie obserwować elegantów. Na szczęście nikt tego nie zauważył. Jeden z elegantów coś tłumaczył zebrany przyciszonym głosem, gestykulując z zapalem. Pojedyncze tylko słowa dochodziły do uszu trzech przyjaciół:

— Kapitalizm... Wyzysk robotników... Policja na ustach fabrykantów... Strajk...

Naraz Felek postawił tak silnie swój kufel na stole, że piwo się rozlało i rzekł głośno:

— Bolszewickie zawracanie głowy!

Przy sąsiednim stole uciszono się i poczęto podejrzliwie spoglądać na Felka. W oczach jednego z elegantów zapaliły się gniewne błyski. Szepnął coś na ucho siedzącemu przy nim robotnikowi, który powstał i powoli podszedł do Felka, trzymając ręce w kieszeni.

— Z kimże okoliczność? — zapytał stojąc przed nim.

— Bezrobotny inteligent — odpowiedział Felek. Ci panowie ze mną — także...

— Nu, jak pan bezrobotny — wtrącił się jeden z elegantów, zbliżając się do ich stolika — to pan powinien trzymać z nami. Pan powinien trzymać z wspólnym frontem wszystkich pokrzywdzonych i walczyć z burżuazją!

— Nie będę nigdy trzymał z Żydami! — rzekł Felek, mierząc go piorunującym spojrzeniem.

— To jest bezczelność! — krzyknął żydek.

Lecz zaledwie wypowiedział te słowa, Felek pochwycił kufel i chlusnął mu w twarz piwem. Powstało zamieszanie. W jednej chwili trzech przyjaciele zostali otoczeni ze wszystkich stron.

— W mordę go! — darł się obłany piwem elegant.

Barczyste postacie robotników zbliżały się groźnie ku nim. Lecz Felek skoczył pierwszy ku nim. Porwał najbliższego błyskawicznie w stalowy uchwyt swych rąk, podniósł w górę jak piórko, obrócił jak śmigłą i trzasnął nim w dwóch dalej stojących. Wszyscy trzech zwalili się jak kłody, na ziemię. Wówczas Felek, rycząc jak tur, wpadł w tę lukę, dopadł dwóch elegantów, zbielejących ze strachu, przycisnął do ściany i mówił przez zaciśnięte zęby:

— Psy żydowskie! Kanalie bolszewickie! Przyjechaliście tu zawracać głowę polskim robotnikom? Do złego namawiać? Niedoczekanie wasze, psia wasza mać żydowska!

To mówiąc tłukł obu jednocześnie po twarzy na odlew, tak długo, póki krwi im z nosów nie puścił. Tymczasem Staszek z Jankiem torowali sobie drogę ku wyjściu. Za chwilę wszyscy trzech znaleźli się szczęśliwie na ulicy. Nikt ich nie ścigał. Właściciel szynku zamknął za nimi drzwi na klucz i szybko spuścił żaluzje.

— Mają dranie dość — mruknął Felek.

— Jeszcze chwila, a byliby nas nożami zadźgali — rzekł Staszek. Lecz Felek machnął lekceważąco ręką:

— Nóż nie taki straszny! Znam się i na tej robocie!

Dyszał trochę ze zmęczenia, ale twarz mu promieniała zadowoleniem.

Staszek wrócił do redakcji. Miał dziś dyżur nocny i czekała go długa i odpowiedzialna praca nocnego redaktora. Maciaszek był wyjątkowo niedysponowany i już o ósmej wieczór, napisawszy artykuł wstępny, poszedł do domu, pozostawiając redakcję pod opieką Staszka. Zaczęła się zwykła, żmudna, gorączkowa orka przy tzw. „łamaniu“ numeru. Nadszedł wieczorny serwis depesz PATa i trzeba było przejrzeć ten cały materiał, zadiustować, przygotować do druku, zaopatrzyć w tytuły. Od pracy tej odrywał go kilkakrotnie metrapaź:

— Panie redaktorze, artykuł gospodarczy nie zmieści się na kolumnie czwartej... Trzeba skrócić dwadzieścia wierszy...

— Za mało materiału na szóstą!

— Jaką dwuszpaltówkę damy na czoło trzeciej kolumny?

— Co pójdzie po artykule wstępnym?

— Proszę do łamania czwartej!

Staszek wzorem Maciaszka ganiał z redakcji do zecerni, wpadał do korektorni, to znów do pokoju telefonów zamiejscowych. Tu zwrócił się do młodego chłopca-akademika, który odbierał telefon od stałego korespondenta w Berlinie.

— Jest dziś co ciekawego?

— Czerwoni Hiszpanie znowu zbmobardowali statek niemiecki...

— Dawaj pan to!

Staszek wpadł jak burza do zecerni.

— Panie Dobromilski, wstrzymać łamanie pierwszej strony! Na pierwsze miejsce mamy sensację!

— Do cholery! Numer się spóźni!

— Nie ma prawa się spóźnić! Jeszcze wcześniej... Dawaj pan to do składania na dwie maszynki...

— Już się robi... A może tymczasem przełamiemy szóstą?

— Dobra! Zaczynamy od mego artykułu! Wal pan!

Metrampaż zręcznym uchwytem zaczerwionych farb drukarską ręk porwał i ułożył na blaszanej podstawie błyszczącą masę, składającą się z poszczególnych, metalowych linii.

— Teraz puść pan kronikę sportową!

— Zostanie się jeszcze czterdzieści wolnych wierszy...

— Może pójść komunikat Towarzystwa Turystycznego...

Do zecerni wpadł chłopak redakcyjny z meldunkiem:

— Telefonował pan redaktor Maciaszek i prosi, aby pan redaktor osobiście przejrzał korektę wstępnego artykułu...

— Już zrobione... Artykuł czysty jak łą.

Dokoła terkotały monotonna linotypy. Powietrze było ciężkie i duszne, przesycone zapachem farb drukarskich, smarów, gazu, benzyny, roztopionego ołowiu, dymu tytoniowego i ludzkiego potu. Metrampaż Dobromilski gwizdał przez zęby „Ostania niedziela“, kłął soczyście na zecerów i chłopców drukarnianych, lecz paliło mu się w rękach. Kolumna za kolumną „przełamane“, szły do matrycowania, a potem do metalowego odlewu. W tym zaduchu drukarnianym, wśród rubasznym żartów, jędrnym przekleństw, klekotu linotypów, szczeku metalu i syczenie gazu pod kotłem z roztopionym ołowiem, w godzinie, o której już większość mieszkańców Warszawy spała snem mniej lub więcej sprawiedliwych, a część opuszczała nocne lokale, wracając rozbawiona do domu, tu wrzała wciąż jeszcze gorączkowa praca, dokonywało się misterium powstawania codziennej gazety...

— I jakież konkretny rezultat z tej całorocznej, odpowiedzialnej, zdzierającej nerwy pracy? — myślał Staszek — Ot, dziesięciominutowa lektura przy porannej kawie, dla pocziwego mieszczucha.

Okolo godziny drugiej nad ranem nastąpiła chwila wytchnienia. Miał jeszcze nadejść ostatni serwis depesz, na które Staszek oczekiwał, aby ewentualnie uzupełnić pierwszą stronę, przed zamknięciem numeru. Korzystając z chwilowej przerwy, zapalił papierosa i wyszedł na balkon redakcyjny, aby odechnąć trochę świeżym powietrzem po zaduchu drukarnianym. Jakiś cień na balkonie przechylił się przed nim i rzekł cicho:

— Dobry wieczór panu.

Staszek poznał po głosie współpracownika redakcji profesora Antoniego Kłosa.

— Dobry wieczór. Pan jeszcze w redakcji?

— Nie chcę mi się spać. Siedzę tu sobie na balkonie i dumam...

Antoni Kłos był dziennikarzem dopiero od roku. Przerzucił się do dziennikarstwa z belferki gimnazjalnej, przeniesiony przedwcześnie na emeryturę. Ponieważ skromna emerytura nie wystarczała mu na życie, dorabiał sobie pracą dziennikarską. Miał sobie powierzony „Dodatek Naukowy“, który ukazywał się raz na tydzień, w wydaniu niedzielnym. W redakcji nazywano go „astronomem“. To przezwisko zawdzięczał swym zamiłowaniem astronomicznym. Astronomia stała się wprost jego manią prześladowczą i poniekąd przekleństwem życia.

Wbrew ogólnej opinii, posiadał istotnie dużą wiedzę z dziedziny astronomii, lecz niepraktyczność życiowa i brak protekcji, nie pozwoliły nigdy się wybić. Ostatecznie, nie tylko nie dopuszczono go nigdy do docentury na uniwersytecie, ani do pracy i studiów w obserwatorium warszawskim, choć miał ku

temu wszelkie dane, lecz nawet usunięto z gimnazjum, przenosząc przedwcześnie w stan nieczynny, gdzie wykładał fizykę i matematykę.

To go jednak nie zraziło, ani do życia, ani do ludzi: zawsze był pogodny i zawsze pełen optymizmu. A przecież życie nie szczędziło mu zawodów. Mając blisko pięćdziesiąt lat ożenił się z piękną dziewczyną, młodszą o dwadzieścia lat. Pożycie ich nie było szczęśliwe, choć Kłos do końca nie przestał kochać swej żony. Był jednak dla niej zbyt poważny i zbyt „kosmiczny”. Toteż po pięciu latach małżeństwa, gdy stracił rządową posadę, porzuciła go pewnego dnia, uciekając z jakimś fordanserem. Obecnie była sama fordanserką, w którymś z nocnych lokali w Warszawie. Potrafił jej to przebaczyć i wyrozumieć.

Zdawało się, że ten człowiek zapatrzony w gwiazdy, nie widzi i nie rozumie małostkowości spraw tego świata i ludzkiej podłości. Był wyższym ponad wszystko, co niskie i przyziemne. Staszek okazywał astronomowi wielką i szczerą sympatię i bardzo lubił z nim dyskutować.

Miałem dużo materiału do następnego dodatku — tłumaczył Kłos swą obecność o tej późnej porze w redakcji. — A gdy skończyłem, chciałem trochę odetchnąć przed pójściem do domu. Taka piękna dziś noc...

Noc była istotnie bardzo piękna i ciepła. Na wschodzie niebo przyoblekało się już poranną szarością, przyćmiewającą gwiazdy. Ruch nocny na ulicy słabnął z każdą chwilą.

— Wie pan — rzekł nagle profesor Kłos — zdradzę panu pewną tajemnicę... Ot dziś właśnie skończyłem pewne dzieło astronomiczne... To będzie prawdziwa rewelacja w świecie naukowym... Nowa teoria o rozciągłości całego naszego wszechświata...

— Ma pan już wydawcę? — zapytał Staszek.

Profesor Kłos uśmiechnął się niefrasobliwie.

— Ach, wydawcy się znajdują! A gdy wydam moje dzieło, rozumie pan: katedra na uniwersytecie pewna!

— Niepoprawny optymista! — pomyślał Staszek.

— Świat i ludzie nie są tacy źli, jak się panu wydaje — powiedział poważnie astronom, jakby odgadując jego myśli. — Filozof angielski Hutcheson rzekł: „zło danego czynu jest takie, jak stopień cierpienia i ludzi cierpiących. Ten czyn jest więc najlepszy, który daje największą szczęśliwość największej liczbie ludzi!“ A czyż to takie trudne do zrealizowania, panie Staszku?

Astronom podniósł głowę do góry i wzrok jego tonął w bezmiarze niebios. Uśmiechał się do gwiazd i szeptał do siebie jakieś niezrozumiałe słowa. Nagle, jakby przypomniawszy sobie obecność Staszka, rzekł głośno:

— O jakże naiwni i zarozumiali są ludzie, wyobrażając sobie, że oni jedynie istnieją w całym wszechświecie! Że jedynie ziemia, ten marny pyłek kosmosu, jest zamieszkała!

— To już nie ścisła astronomia, tylko poezja — zaśmiał się Staszek.

Od astronomii do poezji, taka sama niedaleka droga — odpowiedział profesor Kłos — jak od wyższej matematyki i fizyki do metafizyki. Przyjdzie dzień, gdy my, przedstawiciele ścisłej wiedzy, suchymi cyframi, długimi kolumnami mozolnych rachunków, stwierdzamy prawdziwość najśmielszych hipotez filozofów, mistyków, poetów, odchylimy tajemniczą zasłonę czwartego wymiaru...

— Panie redaktorze, nadeszły depesze — zameldował chłopak z drukarni.

Była godzina pół do czwartej, gdy wreszcie maszyna rotacyjna ruszyła. Staszek doczekał się tej chwili i wzięwszy jeden ze świeżych numerów dziennika do kieszeni, opuścił redakcję.

Na wschodzie niebo różowiło się już wspaniałą jutrzeńką, zapowiadającą dzień pogodny i upalny. Powoli budził się na ulicach ruch poranny. Przed redakcją stała gromada chłopaków - gazeciarzy, czekając na świeży numer dziennika. Panował wesóły gwar i huczał niefrasobliwy śmiech. Co raz częściej przejeżdżały wozy z mlekiem i pieczywem, szły podmiejskie przekupki, obciążone warzywem i kwiatami, spieszyli się robotnicy na poranną zmianę do fabryk, lub też z nocnej roboty wracali do domów.

Środkiem jezdni, lawirując wśród pojazdów kroczyło dwóch dobrze podgazowanych pasażerów, nucąc ochryplymi głosami jakiś popularny przebój.

Pod murami kamienic, jakby bojąc się światła dziennego sunęły jak cienie jakieś podejrzone typy, gwiżdżąc przez zęby i z podelbą patrząc na przechodniów. Zahuczał naraz klakson automobilowy i przyjechała elegancka, prywatna limuzyna. Przez gentlemanów o minach zblazowanych i znudzonych, załśniły klejnoty trzech wystrojonych dam. Jakieś dziecko w lachmanach, typowe dziecko ulicy warszawskiej przebiegło jezdnię, niemal przed samą maską motoru. Zazgrzytały hamulce auta, szofer począł kląć, lecz pan we fraku rzucił dziecku jakąś błyszczącą monetę, uśmiechając się głupkowato. Po czym auto z wytwornym towarzystwem pojechało dalej, pozostawiając za sobą swąd benzyny i obłok kurzu.

Tymczasem rozjaśniało się coraz bardziej. Dzień zaróżowiony jutrzeńką zwyciężał noc, odkrywał coraz brutalniej wszystkie tajemnice i całą nędzę nocy wielkomiejskiej. Uciekała ona szybko w boczne uliczki, wsiąkała trwożliwie w mrok suterren. Gdzieś z nad

Wisły powiał wietrzyk poranny. Zbudziły się wówczas jaskółki - języki, o półksiężycowatych, żalobnych skrzydłach i pruły powietrze chyżym lotem, napęniając je przeraźliwym świstem. Całymi gromadami przelatywały kawki, witając ogromnym wrzaskiem wschodzące krwawo słońce. Wstawał powszedni, roboczy dzień!

Zamiast iść bliższą drogą, Staszek doszedł do Alei Ujazdowskich, po czym skręcił na ulicę Piękną. Nagle zorientował się, że przechodzi obok domu, w którym mieszka panna Polańska. Zatrzymał się i spojrzał w górę, na jedno okno na trzecim piętrze, otwarte i zasłonięte storą... Mówiła mu ostatnio, że to jest okno jej pokoju...

Tymczasem otworzyła się z trzaskiem brama kamienicy i na ulicę wybiegł Janek, wpadając wprost na Staszka. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu i z wielkim zdumieniem, wreszcie Janek wybuchnął śmiechem.

— Staszek! A cóż ty tu porabiasz, o tej porze?

— To samo pytanie ja mógłbym ci zadać — odpowiedział Staszek niecierpliwie, mierząc go badawczym spojrzeniem.

— Możesz się chyba domyśleć — mówił wesoło Janek, ująwszy go pod ramię.

— Wcale się nie domyślałam — mrunknął Staszek, wzruszając ramionami.

— No, nie przypuszczasz chyba, że wracam z jakiegoś zebrania politycznego — śmiał się Janek. — Oczywiście, byłem u dziewczynki... Mówię ci: cud-dziewczynka!...

— U kogo byłeś? — przerwał mu niecierpliwie Staszek.

Janek zmrużył filuternie jedno oko.

— Wybacz, mój drogi, ale takich rzeczy nie mówi się...

— Możesz tylko powiedzieć, czy to w tej kamienicy, z której wyszedłeś?

— Oczywiście... Wysoko... Na trzecim piętrze.

— Dawno ją znasz?

— Poznałem ją przed dwoma tygodniami...

Szli dalej w milczeniu, tylko Janek ziewał prze-
rażliwie głośno.

— Przestań już ziewać... Denerwujesz mnie —
syknął Staszek.

Janek spojrzał na niego zdziwiony.

— Cóż to za mucha cię ugryzła?

— Wydaje ci się... Słuchaj, jakiego koloru ma
ona oczy?

— Och, prześliczne, niebieskie!

— Kłamiesz!

— Zwarjowałeś Staszku? Co ci jest?

— Nic...

Staszek zbudził się dopiero o drugiej. Pierwszą
jego myślą po przebudzeniu było, że zaprosił pannę
Polańską do teatru, oraz że posiada całego majątku
gorszy piętnaście. Ubrał się więc błyskawicznie i po-
gnał do administracji „Dziennika“, aby zdobyć nieco
floty przed odejściem kasjerki, pani Rolandowej,
urzędującej jedynie do trzeciej.

Pani Rolandowa, wdowa, nieokreślonego wieku,
była prawdziwym dyktatorem dla wszystkich współ-
pracowników redakcji i administracji. Wyłącznie od
jej dobrej woli i dobrego humoru zależały wypłaty
pensyj i honorariów autorskich. Chwile takie zdarza-
ły się jednak rzadko. Najczęściej w kasie „Dziennika“
były rzeczywiście pustki i prawdopodobnie fakt ten
wpłynął na zgryźliwość jej usposobienia i wyrobił
w niej stopniowo jakieś skąpstwo. Bo nawet, gdy
w wyjątkowych wypadkach w kasie były wpływy
i trochę pieniędzy, pani Rolandowa nie zmieniała
swego systemu. Sprawiało jej to wprost jakąś sady-

styczną przyjemność drożyć się ze współpracownikami redakcji, którzy zjawiali się z kwitami do wypłaty. Jeżeli asygnata, podpisana przez samego dyrektora wydawnictwa opiewała na sto złotych, pani Rolandowa stale wypłacała tylko połowę, a po resztę kazała się zgłaszać za kilka dni. System okazał się dla wydawnictwa praktyczny i wygodny, a że pani Rolandowa umiała odstraszać najbardziej upartych wierzycieli, więc wydawnictwo tolerowało jej wybryki, ku rozpaczy wszystkich współpracowników. Tylko nieliczni cieszyli się jej specjalnymi względami. Do tych należał również Staszek. Umiał jakoś zawsze trafić do jej oschłego serca, a przez serce, rzecz jasna i do kasy.

— Najmilsza pod słońcem opiekunko potrzebujących wsparcia! — mówił z patosem, całując ją w łapę. — W rękach pani leży możność uszczęśliwienia człowieka...

— W kasie nie ma dziś ani grosza — przerwała mu sucho.

— Może choć z dziesięć złotych...

— Przyjdź pan jutro...

— Ba, kiedy potrzebuję na dziś!

— Cóż robić! Z pustego nie naleje.

— To bardzo przykre! Chciałem pójść dziś do cyrku na walki zapaśnicze...

— Pani Rolandowa spojrzała na niego z nagłym zainteresowaniem. Miała ona jedną słabość: pasjami lubiła walki zapaśnicze, a mistrza Zbyszka Cyganiewicza wprost adorowała.

— Przecie pan ma bilety redakcyjne?

— Z biletu redakcyjnego korzysta już nasz sprawozdawca sportowy... A tak bym pragnął zobaczyć naszego boskiego Cyganiewicza! Ale, á propos! Słyszałem, że mają wystawić pomnik Cyganiewiczowi na jednym z placów warszawskich...

Pani Rolandowa dostała nagle wypieków i oczy jej zabłysły.

Czy to prawda o tym... pomniku?

— Jak Boga kocham! To będzie prawdziwa ozdoba Warszawy! Taki Herkules o kształtach Apolla!

Pani Rolandowa wsunęła nagle rękę do wpół-otwartej szuflady i poczęła w niej długo szperać. Wydobyła wreszcie dziesięć złotych, z cichym westchnieniem:

— Zrobiłam dla pana wyjątek! Ostatnie dziesięć złotych! Tylko niech pan nikomu o tym nie mówi.

W redakcji Macioszek przyjął Staszka dość kwaśno:

— Za długo pan sypia po nocnym dyżurze! A do numeru nie mamy materiału! Dziennikarstwo, panie, to permanentna służba!

— Wszystko będzie gotowe na czas, panie szefie!

Staszek zabrał się natychmiast do roboty. Połączył się telefonicznie z komisariatem policji, aby dowiedzieć się, czy zaszło co ciekawego w mieście, przejrzał świeżo nadeszłą pocztę i warszawskie dzienniki, dał do druku korespondencję z Paryża, wreszcie sam kropnął dłuższy felieton. Tak zeszedł mu czas aż do wieczora.

Zaledwie zdążył wpaść na chwilę do fryzjera, ogolić się i odświeżyć, gdy wybiła ośma. Panna Polańska oczekiwała go już przed teatrem. Gdy usprawiedliwiał się ze spóźnienia, rzekła z miłym uśmiechem:

— Nie czekałam długo. Przed chwilą dopiero przyszedł...

Zdążyli jeszcze odszukać swe miejsca i gdy usiedli, kuurtyna się podniosła. Rozpoczęła się wesoła komedia muzyczna, ciesząca się wielkim powodzeniem w Warszawie i grana już od dłuższego czasu. Panna Polańska brała żywy udział w akcji komedii, rozra-

dowana, uśmiechnięta, od czasu do czasu wybuchając głośnym śmiechem. Wyglądała prześlicznie w skromnej, lecz wytwornej sukience granatowej, przybranej pękiem czerwonych kwiatów.

Staszek patrzył na scenę z roztargnieniem i uśmiechał z przymusem. Od chwili niespodziewanego spotkania Janka na ulicy Pięknej i rozmowy z nim, pozostał się w nim jakiś uraz psychiczny. Jakieś błahе słówko, jakiś opizod sceniczny, czasem jej uśmiech wywoływał w nim niepokój, skojarzenia całkiem nieusadzonych posądzeń i wątpliwości. Ta niepewność stawiała się dla niego wprost męką, tym gorszą, im bardziej działał na niego czar jej kobiecości. Chwilami musiał się powstrzymywać całą siłą woli, aby jej nie zadać brutalnego pytania:

— Czy Janek spędził u pani ostatnią noc?

A potem ogarniał go lęk przed potwornością własnych myśli i niedorzecznych posądzeń!

— Nie, to przecież niemożliwe — powtarzał sobie z uporem w myśli.

— Pan dziś jakoś nie w humorze? — zapytała w czasie pauzy.

— Miałem bardzo dużo denerwującej pracy w redakcji — odpowiedział zmieszany.

— A cóż porabia pański przyjaciel, ten siłacz?

— Felek? Pracuje nad modelem nowego samolotu...

— Bardzo miły i sympatyczny... Marzę o tym, aby go bliżej poznać...

— Mam jeszcze drugiego przyjaciela... Janka... Pani, zdaje się, go zna... Janek Korba...

— Korba? Nie, nie znam go...

Powiedziała to zupełnie naturalnie i spokojnie, lecz Staszekowi się wydało, że głos jej lekko zadrżał.

— Zdawało mi się, że państwo się znają — powiedział ze złe ukrytym rozdrażnieniem.

— Po przedstawieniu Staszek zaproponował:

— Może pójdziemy do jakiego lokalu?

— Bardzo chętnie, ale innym razem — odpowiedziała wesoło.

— Dlaczego nie dziś?

— Bo jutro mam dyżur od wczesnego rana. Na przyszły raz, to już inaczej się urządzę...

— Kiedy więc będzie ten „przyszły raz“?

— Niech pan do mnie zatelefonuje...

Gdy ją odprowadził do domu i pożegnał przed bramą, ogarnęła go złość.

— Ładne wyobrażenie mieć będzie o mnie! Zachowałem się jak idiota! — pomyślał.

W dość posępnym nastroju wrócił do domu. Obaj współlokatorzy już spali.

Staszek stanął nad śpiącym Jankiem i obserwował go przez dłuższą chwilę, wreszcie westchnął:

— Cholera! Przystojne bydlę!

Nocy tej długo nie mógł zasnąć.

IV.

W najbliższą niedzielę trzech przyjaciele wybrali się do hrabiego Topolskiego.

O wczesnej, rannej godzinie zajechała przed dom elegancka, zielona limuzyna, marki Mercedes i do mieszkania pani Agnieszki zadzwonił wytworny szofer w liberii, wręczając list do Staszka. W liście tym Topolski zapraszał serdecznie całą trójkę, aby spędziła niedzielę w Topolnicy, obiecując wszelkie sielskie rozkosze. Staszek przeczytał głośno ten list i zerwawszy się jednym susem, krzyknął wesoło:

— A więc jedziemy na wieś! Wstawajcie śpiochy.

— Hurra! — zawołał Janek.

— Ja nie pojedę — mruknął Felek.

— Dlaczego? — zapytał Janek, mydląc twarz do golenia.

— Nie potrafię zachować się odpowiednio w takim arystokratycznym domu!

— Musisz pojechać i basta! — rozstrzygnął sprawę krótko Staszek, ściągając z Felka koldrę.

Trzeba było jednak jeszcze długich perswazyj, popartych oblaniem zimną wodą w łóżku, aby go ostatecznie przekonać i przełamać uprzedzenie do arystokracji. Wreszcie trzech przyjaciele obmyci, ogoleni i odświętnie przybrani, zajęli miejsca w limuzynie.

Spotkali się z tak serdecznym i bezceremonialnym przyjęciem w Topolnicy, że nawet sztywny i bardzo godny z początku Felek, rozruszał się bardzo prędko. Przyznał wreszcie lojalnie, że hrabiowie to też czasem ludzie, z którymi można żyć. Nabrał zwłaszcza dobrego humoru, gdy się dowiedział, że prócz Topolskiego nie ma nikogo w pałacu, gdyż stara hrabina Topolska, której się ogromnie obawiał, wyjechała na kurację do wód.

Zaraz po drugim śniadaniu Topolski zaproponował Jankowi partję tenisa, podczas gdy Felek zapoznawszy się z miejscowym administratorem, zwiedzał z nim gospodarstwo przemysłowe.

Staszek przypatrywał się grającym w tenisa, ulokowawszy się na wygodnym leżaku, w cieniu drzew. Lecz nie mógł długo usiedzieć na miejscu. Atmosfera wsi obudziła w nim dziecinne wspomnienia i dawno już ucichłą tęsknotę.

Przez sad i ogród warzywny wyszedł w pole. Za gościńcem szumiał tu łąn kwitnącego żyta. Mała, polna ścieżka prowadziła przez środek tego łąnu, falującego jak morze. Staszek szedł nią powoli, zgarniając po drodze kłosa ręką. Szedł, uśmiechając się radośnie i patrząc w bezkres pól. Dokoła, jak okiem sięgnąć, kołysały się szaro-zielone fale żyta. Gdzie niegdzie

blekitniały blawatki lub wystrzelały maki płomienną czerwienią. Za żytem rozpoczynał się łąn pszenicy. Potem łąki ciągnęły się het daleko, aż po błękitniejący w oddali las. W sennej ciszy południa brzęczała pieśń skowronka, zawieszonego nieruchomo w rozśłonecznionym przestworzu.

Staszek wówczas pomyślał, że właściwie od lat ośmnastu, od ucieczki z Derewni nie był ani razu dłużej na wsi. Czasem brał udział w zbiorowych wycieczkach w okolice podmiejskie, do warszawskich miejscowości letniskowych, lecz to przecież było zupełnie co innego. Najczęściej takie wycieczki kończyły się w jakiejś podmiejskiej knajpie.

Teraz był na prawdziwej wsi, samotny wśród łąnów zboża, zdawało się o tysiące mil odległy od tego świata, który od tylu lat stał się jego światem. Jak niegdyś w Derewni...

Atawistyczna, tak długo tajona miłość ziemi odezwowało się w nim nagle z niespożytą siłą. Zrozumiał w tej chwili, że jakieś tragiczne fatum rzuciło go do miasta, wytrąciło poza nawias życia, do którego był stworzony, oddaliło od wsi i pracy na roli, którą podświadomie kochał. Przekonał się teraz, że miłość tę miał już we krwi... Jakby w olśnieniu poznał owo najwyższe piękno życia, na razie dla niego stracone: ów poszum tajemniczy łąnów zboża, ów mocny, upajający zapach płodnej ziemi. Z jakąż tkliwą, miłosną pieśzczotą przygarniał do twarzy szorstkie kłosa zboża, z jakąś dziecinną radością nadśłuchiwał bicia przepiórek i pieśni skowronka.

Wrócił wreszcie do pałacu, spóźniwszy się na obiad i powitany wesołymi okrzykami przyjaciół.

— Pojedziesz może na rogacza? — zaproponował mu Topolski.

Staszkowi zabłysły oczy.

— Z przyjemnością — odpowiedział wesoło

— Po obiedzie, Topolski, Janek, Felek i administrator zasiedli do bridża. Staszek tymczasem wybiegał odpowiednią broń w zbrojowni Topolskiego. Do lasu było dość blisko, około pięciu kilometrów piaszczystej drogi. Powoli i z chrzęstem kół toczyła się bryczka przez ten piasek, prawie aż do samego lasu. Tu piaski się kończyły i grunt był już twardszy. Toteż szybko dojechali do leśniczówki, gdzie czekał zamówiony gajowy.

— Jest jaki rogacz? — dopytywał się Staszek.

— Rogaczy jest sporo — odpowiedział gajowy.

Wzruszenie i emocja myśliwska zatkały głos Staszekowi. Choć nie miał nigdy w życiu sposobności do polowania, miał już wrodzoną żylkę myśliwską. Jako dziecko uganiał z flobertem za ptakami i towarzyszył z zapalem ojcu na polowaniach na cietrzewie i kaczki. Gdy skończył dziesięć lat, dostał prawdziwą, małokalibrową dubeltówkę, z której ustrzelił pierwszego zająca. Lecz nie cieszył się nią długo, gdyż już w kilka miesięcy później opuścił na zawsze Derewnię. Od tej pory nie był nigdy w kniei. I tylko wspomnienie lat dziecińczych i pierwszych rozkoszy myśliwskich pozostało w nim dotąd żywe...

Gajowy, idący przodem, zatrzymał się nagle i stanął jak wryty. Ledwie dosłyszalnym szeptem poruszyły się jego wargi:

— Jest!

Staszek pochwycił strzelbę.

— Gdzie? — zapytał również szeptem.

Gajowy w milczeniu, bardzo powoli podniósł rękę i wskazał palcem jakiś punkt. Staszek starał się przebić wzrokiem mrok ciemno-zielonych gaszczy, na które gajowy wskazywał. Nadaremnie... nie widział niestety nic. Począł się niecierpliwić i gorączkować.

— Gdzie? — powtórnie zapytał.

— Za tym grubym bukiem... O!... Pasie się. Teraz podniósł głowę...

Ruch ten dojrzał i Staszek Zajaśniała nagle przed nim na tle ciemno-zielonego listowia, jaskrawo-czerwona plama... Stopniowo wyłonił się łeb z pięknie uperłonymi rogami i spojrzały na niego duże, czarne, pełne wyrazu oczy rogacza. Stał tak przed nim nieruchomo, jakby z bronzu wykuty. Staszek podniósł sztucer do ramienia. Gdy przez lunetę na tle krzyżyka zobaczył komorę rogacza, przycisnął cyngiel. Posłusznie poddał się cyngiel palcom, lecz jednocześnie przeszyła świadomość błyskawiczna myśl:

— Zabezpieczony!

Ręce poczęły febrycznie drżeć, serce nagle zamarło. Szybkim, prawie podświadomym ruchem przesunął bezpiecznik, podniósł po raz drugi broń... Lecz czerwonej plamy już nie było. Zniknęła nagle, jakby ją kto wymazał z pośród zielonego tła. Zaduźniło tylko w gąszczach, zatrzeszczały gałęzie, zaszeleściły zeschnięte liście. A potem cisza. I nagle krótkie, urywane, gniewne szczeknięcie. Raz, drugi i trzeci. Po tym znów łomot i trzask i — cisza, dziwna, niesamowita, w uszach dzwoniąca.

— Poszedł! Miałem strzelbę zabezpieczoną! Psia-krew! — klął Staszek.

Lecz gajowy uśmiechnął się wyrozumiale:

— Będzie zaraz drugi!

Poszli dalej w las. Po chwili wśród przerzedzonych drzew zajaśniała duża polana, porośła bujną trawą i różnobarwnym kwieciami. Gajowy przystanął na kraju i sokolim wzrokiem ogarnął całą polanę. Potem spojrzał na słońce i rzekł:

— Tu wychodzi co dnia pod wieczór, jeden silny szóstek... Będzie go pan miał na strzał...

Zaprowadził go w gąszcz ożyn i ustawił krzesółko myśliwskie.

— Niech pan tu siada i dobrze uważa... Powinien stamtąd przyjść. Od strony tych dębów... Jak się ściemni przyjdę po pana...

Ostrożnym, cichym krokiem oddalił się i zniknął w lesie. Słońce zniżyło się już ku zachodowi i ukośne jego promienie przedzierały się przez gąszcz liści. Wszędzie dokoła gwizdały kosy i drozdy jeden, monotonny motyw przepojonej miłosną tęsknotą wieczornej pieśni. Wyśmiewały się z nich cynicznie wrzaskliwe sojki, dziwował dudek głośnym hopkaniem, klaskały z uznaniem dziecięcy. Powoli zapadł zmrok.

Z oczyma, wlepionymi w drugi koniec polany, tam, gdzie czerniała na tle czerwonego nieba grupka starych dębów, siedział Staszek, bojąc się odpędzać roje natrętnych komarów, aby ruchem tym nie spłoszyć rogacza. Przed chwilą właśnie wyszły z lasu trzy sztuki sarn i pasły się w pobliżu dębów. Staszek spojrzał na nie przez lunetę. Dwie najbliższe, to były kozy, stare, duże sztuki. Trzecia, najdalsza, pasąc się, ukryła łeb w trawie.

— Zdaje się, także koza — pomyślał.

Lecz w tej chwili, gdzieś daleko w leśniczówce oczekiwał pies i domniemana koza podniosła głowę. Przez lunetę dojrzał Staszek niezwykle wysokie i piękne porostki. Coś go wtedy chwyciło za gardło i poczęło dławić. Odłożył sztucer na kolana, z trudem łapiąc oddech. Stopniowo uspokajał się. Zmierzył wzrokiem odległość i doszedł do przekonania, że jest zbyt daleko na pewny strzał. Trzeba poczekać cierpliwie, aż rogacz się zbliży... Gajowy mówił, że zwykle tą drogą przechodzi... Tylko, oby się to stało jak najprędzej, póki jeszcze jasno! Powoli, nieznacznie, sarny zbliżały się do jego stanowiska. Gdy doszły na jakie 200 kroków, skrzyły naraz w lewo, znów się oddalając.

— Gdy wyjdzie z poza tego krzaka, strzelę — postanowił Staszek, podnosząc powoli sztucer.

Z poza krzaka wyłonił się powoli łeb i szyja rogacza. Stał tak, jak napięte cięciwo łuku, każdej chwili gotowy do skoku, bacznie nasłuchując. Nagle, gdzieś w głębi lasu rozległ się turkot nadjeżdżającego wozu... W jakimś nieuchwytnym ułamku sekundy, rogacz, jak czerwony pocisk skoczył w górę i zanim Staszek pomyślał o strzale, już zniknął za najbliższym krzakiem. Lecz w sekundę później cała trójka w wspaniałych skokach sadziła wprost na stanowisko Staszka. Na przodzie dwie sarny, z tyłu rogacz. Zbliżały się nieprawdopodobnie szybko. Zanim się spostrzegł — defilowały już przed nim w odległości pięćdziesięciu kroków. Strzelił z przyrzutu, prawie podświadomie, w chwili, gdy rogacz przesadzał mały strumyk. Jak przez mgłę, zobaczył jeszcze całą trójkę, wpadającą po strzale w gąszcz leśną. W ciszy, która teraz zapadła, słyszał wyraźne bicie własnego serca i szum krwi w uszach... Przez chwilę siedział zdrętwiały, jakby ogłuszony. Jakby z innego świata doszedł go głos gajowego, który zjawił się nagle, cicho jak duch.

— Poszedł, paniczu...

Oprzytomniał wtedy i porwała go złość.

— Poszedł, ale pewnie już gdzieś leży pod krzakiem. Dostał na pewno! — mówił opryskliwie.

Gajowy uśmiechał się dobrodusznie, potrząsając głową.

— Ano, chodźmy poszukać farby... Może i dostał...

Zamiast jednak iść w kierunku, w którym rogacz zniknął, szedł wzdłuż strumyka, minawszy linie strzału.

— Gdzie wy łazicie? Zaraz się ściemni i stracimy farbę — gorączkował się Staszek.

Lecz gajowy szedł uparcie naprzód. W pewnym miejscu przystanął i począł pilnie a z wielkim zainteresowaniem, oglądać pień drzewa. Wreszcie skinął na Staszka i gdy ten się zbliżył, wskazał mu w milczeniu mały, okrągły otwór na drzewie.

— Tu siedzi kula — powiedział po chwili uroczyście.

— A więc... chybiłem — rzekł Staszek stłumionym głosem.

— Trudny był strzał — pocieszał go gajowy. Ja to widziałem... W skoku kulą... Ja sobie zaraz pomyślał, że pan nie trafi... Trzeba było wcześniej strzelić, gdy się paś...

— Tak, macie rację... Trzeba było wcześniej strzelić!

— To nic! Na przyszły raz pan zabije rogacza, na pewno! Ale dziś już ciemno... Nie da rady! Trzeba wracać do domu...

— Wracajmy do domu...

Przyszło nań teraz jakieś odprężenie nerwów i całkowite zobojętnienie. Lecz gdy wracał bryczką do Topolnicy, cudowna letnia noc stopniowo poprawiała jego nastrój. Na terasie potem oczekiwał go Topolski.

— Halo, Staszek! Jakże ci poszło?

— Ułaskawiłem dwa rogacze...

— Ha, to się zdarza — śmiał się Topolski. — I w myślistwie potrzebny jest łut szczęścia...

— Nie tylko szczęścia — rzekł wesoło Staszek. — Potrzebny jest trening, tak jak w każdym innym sporcie... Cóż chcesz, od dzieciństwa nie miałem strzelby w garści... Ot, głupstwo! Na przyszły raz pójdzie lepiej... Muszę cię uprzedzić, że po tych łowach jestem głodny, jak wilk!

— Czekam na ciebie z kolacją. Twój przyjaciele poszli z administratorem na wieś, na janki i kęsy...

wesele. Jeżeli chcesz, możemy tam pójść po kolacji. W Topolnicy są wyjątkowo ładne dziewczęta...

Lecz po kolacji zasiedzieli się przy czarnej kawie na tarasie pałacu i jakoś całkiem zapomnieli o pójściu na wesele i o ładnych dziewczętach w Topolnicy.

V.

Zaczęły się dla trzech przyjaciół dni wyjątkowo chude, dni, jak twierdził Janek, pod znakiem „bryndzy maiowej“. Niedobry los, ten złośliwy starzec, pozazdrościł im niefrasobliwej młodości i radości życia i począł paskudnie dokuczać. Jak ta tradycyjna ciotka, która siedzi na kanapie i ma za złe, że młodzież się śmieje i że jest... młoda.

Tak to już bywa. Wprawdzie dotychczas, szczerzy, zdrowy śmiech nie jest jeszcze karalny, lecz spodziewać się należy, że w najbliższym czasie, jakiś urządowy „ukaz“ uzupełni te braki naszej konstytucji. Śmiech nie jest jeszcze zbrodnią, ale jest ogromnie podejrzany. Bo jakie powody może mieć ktoś dziś do śmiechu? Chyba to, że maskuje tym śmiechem... nieczyste sumienie.

Gdy urzędnik się śmieje, gdy nie jest tradycyjnie skwaszony i gburowaty, lecz uprzejmy, pogodny i wesoły, powiedzą o nim, że... bierze łapówki. Gdy w piękny dzień wiosenny, ktoś się uśmiechnie przyjaźnie do nieznajomego przychodnia na ulicy, w cukierni, czy w tramwaju, nieznajomy ów błędnie zaniepokojony i wzrokiem szuka policjanta. Gdy śmiesz się głośno w kinie, czy w teatrze, sąsiedzi sykają. Gdy opowiesz jakiś naprawdę wesoły kawał, słuchacze się chmurzą i zaczynają zastanawiać, czy przypadkiem z nich nie drwisz. Gdy się cieszysz, że słońce świeci, że kwiaty pachną, że dziś po południu spotkasz się z dziewczyną, gdy się śmiesz na pohybel wszystkim cholernym znakom i tropom złydom, gdy się cie-

szysz, że czasem zdarzają się dobrzy ludzie na świecie, wówczas ci dobrzy ludzie telefonują po pogotowie ratunkowe i kaftan bezpieczeństwa dla ciebie...

Owszem, i ci „dobrzy ludzie“ czasem się śmieją. Lecz śmiech ich płynie nie z serca, lecz z wątroby, jest zaprawiony żółcią i kwaśny jak ocet siedmiu złodziei. A jeżeli przypadkiem nie brzmi fałszywie, jeżeli jest szczery, wtedy najczęściej jest śmiechem z... cudzego nieszczęścia...

Lecz nasza „trójka hultajska“ należała do tych nielicznych wyjątków, którzy mają „słońce w herbie“. A więc i złośliwe przeciwności losu znosiła pogodnie i z humorem. Tych „przeciwności“ było coraz więcej.

Od pewnego czasu pani Rolandowa w administracji zawiesiła wszelkie wypłaty i niepodobieństwem było wydostać nawet pięć złotych zaliczki. Na nic się nie zdały wszystkie pochlebstwa i kruczki, w których Staszek celował. Tym razem, w kasie były istotnie pustki. Oczywiście Janek i Felek, jak zwykle, tradycyjnie nie mieli „złamanego grosza“. Ponieważ przyrzeczona Jankowi posada w Izbie Skarbowej nie doszła ostatecznie do skutku, ojciec zażądał natychmiastowego powrotu do Lwowa, grożąc wstrzymaniem dalszych subwencji pieniężnych. Groźbę tę istotnie wykonał, po trzykrotnym, daremnym wysłaniu pieniędzy na drogę powrotną.

Nie lepiej powiodło się i Felkowi. Otrzymał wprawdzie przez protekcję wujka z Częstochowy posadę kancelisty w dyrekcji tramwajów miejskich, z pensją stu dwudziestu złotych miesięcznie, lecz funkcje swe pełnił jedynie przez trzy dni. Dzieje tego trzydniowego „urzędowania“ zasługuje na uwiecznienie.

Dnia oznaczonego, punktualnie o godzinie ósmej rano, Felek zgłosił się do służby. Dyrektor biura przyjął go z miną dość kwaśną i zmierzył od stóp do głowy surowo - krytycznym spojrzeniem.

— U nas porządek musi być, panie tego — oświadczył ni stąd ni zowąd.

Felek skinął potakująco głową, podczas gdy dyrektor dłubał ołówkiem w uszach.

— A pan dotychczas pracował gdzie? — zapytał po chwili, oglądając pod światło koniec ołówka.

— Nigdzie jeszcze, panie dyrektorze... Dopiero przed trzema miesiącami ukończyłem politechnikę i otrzymałem dyplom inżyniera. Poza tym jestem pilotem-lotnikiem i konstruktorem samolotów...

— Tramwaje, to nie samoloty, panie tego — wybuchnął dyrektor z nagłą złością, wpakowawszy ołówek w drugie, kosmate ucho.

— Wiem o tym — powiedział Felek.

— Pan jeszcze nic nie wie — krzyczał dyrektor. — A pański dyplom nam niepotrzebny. Tu trzeba pracować, panie tego! Rozumie pan? Pra-co-wać? Na razie przyjmujemy pana na próbę...

Felek został przydzielony do pomocy naczelnikowi kancelarii. Zapoznał się tu z całym skomplikowanym mechanizmem nie tramwajów, ale dziennika podawczego, registratury i archiwum, dowiedział się o istnieniu czystopisów, koszulek, konwolutów i urgensów. Naczelnik kancelarii, wzorem swego szefa, odnosił się bardzo sceptycznie do jego zdolności biurowych.

— Kancelaria biurowa — mówił pouczająco — to nie Politechnika, panie inżynierze, ho, ho! Tu trzeba mieć głowę na karku! Wie pan co? Niech pan lepiej zatemperuje wszystkie ołówki... To taka techniczna robota...

Potem jednak dopuścił go łaskawie do współpracy. Nauczył go wciągać do dziennika podawczego numery nadeszłej korespondencji, wtajemniczył w orkana registratury. Gdy po skończonym urzędowaniu Felek wrócił do domu, huczały mu w głowie kolumny rozmaitych cyfr, jak tramwaje na zakrętach. Naza jutrz roboty było mniej. Poczta była skąpa, ołówki już zatemperowane. Naczelnik kancelarii polecił mu przynieść z archiwum niektóre akta. Na jeden z nich Felek rzucił okiem. Był to jakiś memoriał w sprawie rozszerzenia sieci tramwajowej w Warszawie.

— Nonsens — pomyślał. — Na całym cywilizowanym świecie znosi się stopniowo tramwaje na szynach, a u nas myślą o rozszerzeniu sieci!

Powrócił do swego biurka i nagle przyszła mu genialna myśl do głowy. Oto ma sposobność odznaczyć się na swym nowym stanowisku i popisać technicznymi wiadomościami. Zabrał się z zapalem do pracy i w przeciągu godziny wykończył długi i zmudny referat o konieczności zniesienia sieci tramwajowych w Warszawie i zastąpienie jej komunikacją autobusową, względnie kolejką podziemną. Referat poparty był cyframi, wykresami, danymi statystycznymi. Niezmiernie zadowolony ze siebie zameldował się u dyrektora.

— Pan czego? — przywitał go uprzejmie dyrektor.

Felek położył nieśmiało na biurku swój referat i rzekł, jękając się nieco.

— To w sprawie reorganizacji komunikacji tramwajowej w Warszawie...

Dyrektor wzruszył lekceważąco ramionami.

— Co pan może o tym powiedzieć!

Począł jednak przeglądać referat i w miarę czytania nabrzmiewały mu żyły na czole i twarz pokryła się purpurą.

— Kapitalne, wspaniale! — mrucał od czasu do czasu.

Dusza w Felku radowała się i głaskała go czule po sercu, lecz nagle jak spłoszony ptak skoczyła mu na ramię. Bo dyrektor zmierzył go straszliwym i nie dobrego nie wróżącym spojrzeniem.

— Więc pan chciałby skasować to, z czego pan żyje? — ryknął wreszcie groźnie. — Tramwaje znieść? To po prostu niesłychane, panie tego! Nie-sły-cha-ne! Za taki wybryk powinien pan otrzymać dymisję! Ale tym razem jeszcze daruję panu...

Dnia trzeciego Felek ukończył przydzieloną mu robotę na godzinę przed zamknięciem urzędowania. Nie wiedział co zrobić z tą godziną. Czuł się zmęczony i znudzony. Dzień był wyjątkowo parny i w pokojach biurowych było ogromnie duszno i gorąco. Nagle przez otwarte okno doleciał go charakterystyczny i tak dobrze mu znany warkot motoru samolotowego. Nie wstając od swego biurka spostrzegł posuwający się po błękitnym niebie mały, błyszczący punkcik.

— Breguet, ostatni model myśliwski — ocenił fachowo.

Patrzył za oddalającym się szybko samolotem, nagle osowiały. Jakże zazdrościł temu szczęśliwemu pilotowi! Gdy aeroplan zniknął mu z oczu, Felek westchnął i pochylił się nad biurkiem. Automatycznie kreślić zaczął na arkuszu leżącego przed nim papieru model samolotu. Stopniowo zapalił się do tej roboty. Zapomniał o tramwajach, o biurze, świat przestał dla niego istnieć. Oto w nagłym olśnieniu ujrzał rozwiązanie problemu, nad którym pracował daremnie od dwóch lat, nad którym stracił tyle bezsennych nocy. Teraz problem ten wydawał mu się tak prosty, tak jasny! Gorączkowo, pospiesznie wypełniał arkusze papieru biurowego szkicami poszczególnych

części samolotu, na innych znów kartkach wypisywał długie kolumny cyfr...

Nagle posłyszał tuż nad swoją głową, gniewne sapanie.

— A pan co robi? — padło wreszcie zapytanie, zadane nieco chrapliwym głosem dyrektorskim.

— To jest R Nr 1 — oświadczył wówczas dumnie.

— Co to znaczy?

— Model nowego samolotu, który udało mi się w tej chwili zaprojektować... Niech pan dyrektor spojrzy! To będzie prawdziwa rewelacja! Przewrót w przemyśle lotniczym...

— Może ten samolot zastąpi tramwaje?

Felek nie odczuł zjadliwej ironii w głosie dyrektora i odpowiedział dobrotliwie:

— Prawdopodobnie, w niedalekiej przyszłości, komunikacja odbywać się będzie wyłącznie samolotami... Już dziś niektóre typy samolotów, przezwane autożyrami, mogą bezpiecznie startować i lądować na płaskich dachach kamienic...

— Na razie jeszcze są tramwaje! — przerwał mu dyrektor, coraz bardziej zachrypnięty i piskliwy. — Rozumie pan? Tram-wa-je!

— Rozumiem — uśmiechnął się Felek wyrozumiale.

— Nic pan nie rozumie — piszczał dyrektor. — Wół nie nadaje się do karety, a lotnik nie nadaje się do tramwajów, panie tego! Zwalniam pana z posady! Natychmiast! Na-tych-miast!

Tak tedy szybko i niespodziewanie zakończyła się kariera urzędnicza Felka.

Był on z tego raczej zadowolony. Żył teraz, jakby w jakimś transie. Nie dosypiał, nie dojadł, nie mył się, nie golił. Całymi dniami i nocami ślęczał nad rysunkami, wykończając projekt swego samolotu. Schudł przeraźliwie, szcerniał, zdziczał...

Pewnego popołudnia, trzech przyjaciele wyciągnęci na swych łózkach, oddawali się rozmyślaniom nad znikomością spraw tego świata. Milczenie przerwał nagle Janek:

— Słuchaj Staszku, czy ty wolisz kielbasę smażoną, z cebulką, czy w szarym sosie? Bo ja osobiście wolę w sosie...

Zamiast odpowiedzi Staszek porwał grubą książkę telefoniczną i cisnął nią w Janka. Lecz prawie jednocześnie zapukano energicznie do drzwi i weszła pani Agnieszka w całej swej okazałej postaci.

— Listonosz przyniósł do pana — zwróciła się do Janka, podając mu list.

Badawczym spojrzeniem obrzuciła trzech młodzieńców, a szczególnie Janka.

— Obraża Boska gnść tak w łóżku — rzekła uroczyście. — Pomyślałby kto, że tu jakiś szpital...

— Odpoczywam po nocnym dyżurze — odpowiedział Staszek. — A co do Janka, to on istotnie jest chory...

— Ja? — zdziwił się Janek

— Chory? — zaniepokoiła się pani Agnieszka. — Co panu jest?

— Pewnie dżuma, albo cholera azjatycka — wtrącił ponuro Felek.

— Cicho, bo wywoła pan jeszcze jakie nieszczęście — zgromiła go pani Agnieszka.

Pochyliła się nad łóżkiem Janka i zapytała szeptem:

— A może trzeba panu doktora?

— Był już doktor i mówił, że stan beznadziejny — drwił dalej Felek.

— Że też Pan Bóg nie pokarał jeszcze pana za ten obrzydliwy język! — krzyknęła pani Agnieszka.

Milczała przez chwilę, gniewnie sapiąc, wreszcie zapytała Staszka surowym głosem:

— Panowie już po obiedzie?

— Owszem, proszę pani — zaśmiał się Staszek.

— Wypiliśmy po szklance wody i zjedliśmy po pół kawałka cukru...

— I panu także tylko żarty w głowie!

Skierowała się do drzwi z miną obrażonej królowej, lecz nagle zatrzymała się:

— Poczekajcie panowie chwilę... Zaraz wam tu coś przyniosę.

Janek przeczytał tymczasem otrzymany z poczty list.

— Znowu stary grozi ci wydziedziczeniem? — zapytał Staszek.

— Nie... To z warszawskiego Klubu Tenisowego.

— Czego oni chcą od ciebie?

— Nie wiem. Mam się niezwłocznie zgłosić do Prezesa Klubu...

— Może chcą cię wystawić w jakim meczu reprezentacyjnym?

— Hm, kto wie...

Naraz otwarły się z trzaskiem drzwi i do pokoju weszła ponownie pani Agnieszka, trzymając oburącz pękata flachę, do połowy napelnioną złocistym płynem. Za nią wtargnął pyzaty garkotłuk, niosąc olbrzymią tacę zastawioną talerzami i kieliszkami. Smakowita woń trzech dużych kotletów wieprzowych z młodymi kartoflami rozniosła się po pokoju, podrywając z łóżek trzech przyjaciół.

— To niby dla kogo? — upewniał się Felek, lękając ślinę.

— Niech panowie skosztują! — zapraszała pani Agnieszka.

I widząc niezdecydowanie młodzieńców dodała z dobrodusznym uśmiechem:

— Nie wiesz gdzie położyć na zębie... Zdrowsze to niż obiad w jakiej garkuchni...

— Bardzo pani dziękujemy — wystąpił Staszek w imieniu trójki.

— Nie ma za co... No, do roboty, panowie! A tu w tej butelczynie trochę jałowcówki, dla dodania apetytu... Zostało mi się jeszcze po starym... Bez ceremonii, panowie! Ale, ale, co ja to jeszcze chciałam powiedzieć? Aha! Poczęstunek, poczęstunkiem, ale ja swego nie daruję! Jak panowie czynszu nie zapłacą, do sądu podam! Jak mi Bóg miły!

— Zapłacimy napewno, w przyszłym tygodniu — obiecał solennie Staszek.

— Ano, zobaczymy! — mruknęła groźnie pani Agnieszka, znikając za drzwiami.

— Anioł, nie kobieta — westchnął Felek. — Kiedyś to ostatni raz jadł takie przysmaki? Hm, dalibóg już nie pamiętam...

Po tej niespodziewanej libacji, pokrzepieni na duchu i ciele, Staszek z Jankiem wyszli do miasta. Staszek do redakcji, a Janek do mieszkania prezesa Klubu Tenisowego.

— Dobrze, że pan tak prędko przyszedł — przywitał go prezes. — Sprawa jest bardzo pilna. Powiem panu krótko:: musi pan grać w naszej reprezentacji przeciw Włochom. Mecz naznaczony jest od dziś za twa tygodnie...

Janek przeraził się.

— Panie prezesie, wyszedłem z formy. Od roku nie byłem na korcie!

— To źle. Ale zeszłego roku był pan w świetnej formie. Zapamiętałem to dobrze i dlatego zwróciłem się do pana.!

— Dlaczego właśnie do takiego rezerwowego gracza, jak ja?

— Jesteśmy w przykrym położeniu. Nasz as zwicznął nogę i nie będzie mógł stanąć na korcie. A drugi gracz został zdyskwalifikowany za niesub-

ordynacje na rok. Pozostało się jeszcze dwóch słabszych i jeden średni, ale to za mało. Meczu z Włochami odłożyć niepodobna! Dlatego pan musi ratować sytuację! Zagra pan tylko jednego singla... Od jutra rozpocznie pan trening na naszych kortach, z trenerem klubowym. Przez dwa tygodnie powinien pan wrócić do formy. Białe portki, oczywiście pan ma?

— Mam...

— Rakiety dostanie pan w klubie... Zapewne narażony pan będzie na pewne wydatki związane z tym meczem. Proszę więc przyjąć 50 złotych na pokrycie tych kosztów. Gdyby było za mało, dam więcej. Ma pan stałą posadę?

— Nie...

— To dla nas lepiej. Od jutra rana, może więc pan rozpocząć trening.

Tymczasem Staszek poccił się w redakcji nad tygodniowym, niedzielnym felietonem. Gdy wreszcie skończył i odesłał rękopis do drukarni, woźny redakcyjny zameldował mu wizytę pewnej „eleganckiej damy“.

— Któż to może być? — zastanawiał się, przyglądając machinalnie włosy.

Do pokoju redakcyjnego weszła panna Krysia Polańska, pięknie ubrana, słicznie uśmiechnięta, świeża i wonna jak wiosna.

— Panna Krysia! — zawołał Staszek radośnie.

— Przyszła koza do woza — śmiała się panna Krysia. — Nie mogłam się doczekać obiecanego telefonu i przyszłam sama...

— To cudnie!

— Ma pan dużo czasu?

— Mam jeszcze trzy godziny wolne. Od dziewiątej rozpoczynam służbę nocną w redakcji...

— Świetnie. A więc porywam pana!

— Dam się porwać z rozkoszą.

— Na Pradze otwarto podobno jakiś Luna-Park. Marzę o tym, aby tam pójść. Chciałby pan mi towarzyszyć?

— Powtarzam: z rozkoszą!

Dopiero na ulicy Staszek przypomniał sobie, że nie ma ani grosza przy tzw. niesłusznie duszy. Wymyśliwszy więc jakiś pretekst powrócił do redakcji. W wyjątkowych wypadkach korzystał zawsze z kredytu u metrapaży Dobromilskiego.

— Panie Dobromilski — szeptał, odciągawszy go na stronę. — Muszę mieć natychmiast pięć złotych! Razumie pan?

— Rozumiem: dziewczynka! — uśmiechnął się Dobromilski. — Służę panu redaktorowi. Ale na dzieńią niech pan wraca, bo mamy dziś ciężki numer...

— Przyjść napewno!

Staszek czuł się teraz tak bogatym, jakby wygrał główny los na loterii. Z wielkopańską fantazją proponował nawet taksówkę, ale panna Krysia wołała pójść piechotą.

Bawili się w Luna-Parku jak dzieci. Krysia musiała zakosztować wszystkich przyjemności. Obeszli wszystkie karuzele, huśtawki amerykańskie, dwukrotnie przejechali się kolejką powietrzną, strzelali na strzelnicy. Wreszcie przystanęli przed drewnianą budą z napisem „Amerykańskie Muzeum Osobliwości“. Przed budą stał na podwyższeniu typowy warszawski Antek z Powiśla w czerwonym fraku i zachęcał głośno publiczność do zakupienia biletów wstępu:

— Proszę państwa do kasy! Za jedno pięćdziesiąt groszy zobaczą państwo osobliwości, jakich świat nie widział! Są tu dwie kobiety, fenomeny natury: jedna ma tylko głowę, drugą męską brodę i dziecko, o czym

każdy z państwa może się przekonać. Jest tu także koń utuczony pańskim okiem, dwie myszy kościelne, dwa kruki, które sobie nigdy oczu nie wydziobią, jeden pies jamnik, który dawniej był chartem, ale starł sobie biedaczek nogi, jeź, na którym każda pani może z łatwością usiąść, papuga, która nie nie gada, bo jest niemową od urodzenia, ciele, które dwie matki ssie, kot w worku, kanarek na dachu, łyzy krokodyle, deska z arki Noego, ogryzek jabłka Adama i wiele innych sensacyj! A wszystko za jedno pięćdziesiąt groszy! Do kasy proszę państwa, do kasy!

Widząc niezdecydowanie publiczności, dodał:

— Aby szanownych gości przekonać, że to nie bujda, zademonstrujemy bezpłatnie kobietę bez tułowia... Proszę tylko dobrze uważać! Tu nie ma żadnego cygaństwa!

Mówiąc to, odkrył zasłone małego namiotu, stojącego przed wejściem do budy. Wnętrze namiotu obite było czarnym suknem. Na środku stał stół, a na nim wazon, z którego wychylała się głowa żywej kobiety. Złudzenie optyczne było zdumiewające: wydawało się, że głowa istotnie nie ma tułowia. Człowiek w czerwonym fraku wykrzykiwał:

— Państwo widzą? To prawdziwy fenomen natury! Kobieta ta nie ma piersi, ani brzucha, ani rąk, ani nóg, a żyje i gada! Zaraz państwo się przekonają. Jak się nazywasz?

— Nazywam się Abacja — odpowiedziała głowa, uśmiechając się do publiczności.

— A czym się Abacja odżywia?

— Odżywiam się bulionem.

— Państwo słyszą? Abacja odżywia się bulionem! Gdzie się Abacja urodziła?

— Urodziłam się na Krymie, nad Czarnym Morzem, z ojca Hiszpana i matki Litwinki...

Jakiś andrus w cyklistówce zapytał nagie głośno:

— Panie czerwony, a jak ona chodzi, kiedy nie ma nóg?

— Abacja nie chodzi, tylko jeździ autem!

— A wódkę pije?

— Abacja wódki nie pije...

— Bujda!

— Proszę państwa — krzyczał impresario, zamykając pospiesznie namiot. — Abacja jest już zmęczona! Kto zapłaci pięćdziesiąt groszy, zobaczy inne amerykańskie sensacje!

— Chce pani zobaczyć? — zapytał Staszek.

— To naprawdę bujda! — śmiała się panna Krysia. — Chodźmy lepiej gdzie indziej.

— Tu widzieliśmy już wszystko. Ja bym proponował pójść do kina...

— To świetna myśl!

Pojechali tramwajem na Marszałkowską. Staszek zaproponował kino, w którym znał dyrektora, od czasów, gdy pisał recenzje z filmów i gdzie mógł liczyć na gratisowe bilety. Na szczęście dyrektor stał przy kasie i powitał Staszka uprzejmie:

— Sługa pana redaktora. Rzadki gość u nas...

— Chcielibyśmy zobaczyć ostatni program...

— Bardzo proszę do mojej loży.

Tymczasem Staszek nie potrafiłby napisać recenzji z filmu. Od czasu do czasu roztargnionym wzrokiem patrzył na ekran, na którym rozgrywał się jakiś sensacyjny dramat amerykański, jakiś „super-film”, z Marlena Dietrich, czy inna Greta Garbo, lecz nawet nie starał się zrozumieć treści. Zupełnie nie był „dramatycznie” nastroiony. W najniewłaściwszych chwilach pochylał się do ucha swej sąsiadki i szeptał jakieś słowa błahe, pozornie bez związku, za co zostawał doraźnie karcony małą rączką, zatykającą mu usta. Odnosiło to jednak skutek wręcz przeciwny.

Oto przytrzymywał swoją dłońią tę rączkę przy ustach i pokrywał pocałunkami.

— Nigdy już z panem nie pójdę do kina — mówiła pozornie oburzona.

— W takim razie muszę korzystać z każdego momentu — szeptał w odpowiedzi.

A że w tej chwili, kiedy szeptał jej do ucha, odwróciła ku niemu głowę, spotkały się ich usta, niby... przypadkiem. Akurat to samo i prawie jednocześnie przydarzyło się na ekranie Marlenie Dietrich i jej partnerowi...

I „przypadkowy“, a pierwszy ich pocałunek trwał też równie długo. Na taśmie filmowej zajałyby z kilkadziesiąt metrów. Zaledwie rozłączyły się ich usta, gdy na widowni zabłysło światło. Staszek przytrzymał rękę panny Krysi, która chciała powstać.

— Zostańmy jeszcze na jeden seans — prosił. — Przecież to taki interesujący film!

— Kiedy pan jest niegrzeczny!

— Będzie już grzeczny! Krysiu, moja cudna Krysiu! Spojrzała na niego z uśmiechem.

— A jakże będzie z dyżurem w redakcji? Już dochodzi dziewiąta!

— Rany Boskie! Już dziewiąta! Jak ten czas szybko zleciał! Krysiu, kiedy będziemy mogli się zobaczyć? Kiedy będę mógł przyjść do pani?

— Czy to konieczne?

— Strasznie konieczne!

— Namyśle się jeszcze...

— Niedobra!

— W tych dniach zatelefonuję do pana... A teraz dziękuję za Luna-Park i za kino... Niech pan już idzie do redakcji, bo późno...

W redakcji zawiadomił go woźny, że pan redaktor Maciaszek już dwukrotnie pytał się o niego...

— Dobrze, że pana widzę — przywitał go Maciaszek, wyjątkowo uprzejmie.

Był też wyjątkowo ogolony, wyświeżony i pachnący wodą kolońską.

— Niech pan sobie wyobrazi — mówił tajemniczo — wybieram się dziś do teatru! Należy mi się, raz na rok, ta mała przyjemność? Co? Otóż czekam na pana, aby umówić dzisiejszy numer... Napisałem artykuł wstępny, poświęcony polityce angielskiej...

— Bardzo aktualny temat...

— Właśnie... Artykuł na temat, jakimi drogami powinna iść polityka angielska... Sądzę, że w Anglii artykuł ten powinien obudzić wielkie zainteresowanie... Dlatego też wydałem polecenie zwiększenie dzisiejszego nakładu...

— Słusznie, panie redaktorze — powiedział Staszek poważnie, tłumiąc śmiech, który go rozsadzał.

— Niech więc pan dopilnuje, aby wysłano odpowiednią ilość egzemplarzy do Anglii... I aby numer się nie spóźnił!... To by było wszystko... Pozostawiam panu całą redakcję i znikam...

W zecerni metrampaż Dobromilski zobaczywszy Staszka, zmrużył porozumiewawczo jedno oko. Nucił, jak zwykle fałszywie „Ostatnią Niedzielę“ i gromił chłopców drukarskich wielce nieprzystojnymi wyrazami.

— Cały materiał już ziozony — zameldował Staszekowi — tylko brak nam jeszcze własnych depeesz...

— Depesze już się robią!

— To klawo! O drugiej zamknijemy dziś numer.

W redakcji siedział jeszcze sekretarz redakcyjny Rawicz i profesor Kłos. Ten ostatni od pewnego czasu przychodził do redakcji coraz rzadziej. Podobno, jak mówiono, ciężko chorował i wyglądał też jak cień człowieka.

— Coś niedobrze pan wygląda, panie profesorze — powiedział Staszek, serdecznie go powitawszy.

— Ano, coś kiepskawo zemną... Jutro idę do szpitala i oddaję się w ręce lekarzy. Za dwa tygodnie będę znów zdrów jak rydz... Ale ja mam z panem na pieńku! Pozwoliłem sobie przeczytać w odblasku pański felieton, który idzie w dzisiejszym numerze...

— I jest pan niezadowolony — zaśmiał się Staszek. — Naturalnie, ponieważ to felieton polityczno-polemiczny, a pan nie znosi polityki...

— Otóż to! — potwierdził z zapalem profesor Kłos. — Polityki całkiem nie rozumiem... Nie stosuje tego do pana, ale każda prawie polemika polityczna u nas kończy się wymysłami ad personam, każda jest stekiem kalumnii i oszczerstw na przeciwnika, dlatego tylko, że ten ma inne przekonanie... Pocóż sobie tak zohydzać i utrudniać wzajemne życie?

Sekretarz redakcyjny, Rawicz, który swoim zwyczajem, leżał wyciągnięty na biurku redakcyjnym, poruszył się niecierpliwie:

— Głupstwa pan gada! Więc jak kto na kogoś napadnie, trzeba mu dać się zarżnąć, jak baranek niewinny?

— O to chodzi, aby nikt na nikogo nie napadał!

— Mrzonki!

— Dlaczego? Czyż ideałem życia musi być walka na noże w imię jakiegoś partyjnego hasła? Jak można się taką walką entuzjazmować? Nie poza nią nie widzieć? A przecież tyle jest piękniejszych i ciekawszych problemów na świecie! Przeżywamy teraz wspaniałą erę w historii rozwoju ludzkiego ducha...

Sekretarz Rawicz zerwał się i splunął ze złością.

— Nie zwracaj pan głowy! Trzeba patrzeć na wszystko realnie! Prawdą jest to, że po pięćdziesięciu latach harowania człowiek nie ma tych paru złotych, aby pójść na kolację! Ot, co jest!

Wzburzony, porwał kapelusz i wybiegł z redakcji. Profesor Kłos, zaskoczony tym wybuchem, zwrócił się do Staszka:

— Boże drogi, nie chciałem go urazić! Byłbym mu chętnie pożyczył tych parę złotych... Może go jeszcze gdzie dogonię na ulicy...

Wyszedł prędko, w ślad za Rawiczem, zgnębiony i zakłopotany...

— Typy z nieprawdziwego zdarzenia — myślał Staszek. — Jeden i drugi wykołajeniec i bankrut życiowy... A tak bardzo różni charakterem! Jeden niepoprawny optymista, entuzjasta życia, drugi zgorzkniały neurastennik...

Myślał o nich i analizował spokojnie, obiektywnie, lecz nie odczuwał w danej chwili żadnego współczucia. Miał raczej jakieś egoistyczne poczucie własnej wyższości i zadowolenia z istnienia. Poczucie to było dziś jeszcze silniejsze, niż zwykle. Wprost rozsadzało go jakaś wielka radość wewnętrzna. Chciało mu się żyć i upajać pięknem życia, jak jeszcze nigdy...

Metrampaż Dobromilski dotrzymał słowa. O godzinie trzy na drugą ostatnia, przełamana kolumna poszła do kołandra, a punktualnie o drugiej ruszyła maszyna rotacyjna. W kilka minut później, Staszek wyszedł z redakcji.

W mieszkaniu na Nowogrodzkiej jeszcze się świeciło. Janek spał jak zabity, lecz Felek w nocnej koszuli chodził dokoła stołu, jak lew po klatce.

— Dlaczego nie śpisz? — zapytał Staszek, we drzwiach już ściągając marynarkę i kołnierzyk.

— Jakoś mi się nie chce — mruknął Felek. — Wyobraź sobie, wykończyłem wreszcie mój projekt i oddałem naczelnemu inżynierowi na Okęciu...

— Brawo! I cóż ci powiedział?

— Kazał mi się zgłosić za tydzień po odpowiedzi...

Felek przysiadł na łóżku Staszka i nie zważając na jego rozpaczliwe ziewanie opowiadał mu jeszcze długo szczegóły swego projektu i rozmowy z inżynierem.

Wczesnie rano zbudził go znów Janek, który wstał wyjątkowo o tej godzinie, wybierając się na kort tenisowy.

Trener Klubu Tenisowego oczekiwał Janka już na korcie i natychmiast rozpoczął z nim trening. Po dwóch godzinach Janek obłany potem, ledwie dyszał. Lecz trener był niezadowolony.

— Wyszedł pan całkiem z formy — mówił. Serwis pański bardzo słaby, forhandy zawodzą, a o bakhandach lepiej nie mówmy!

Jednak Janek nie tracił nadziei. Zawział się i trenował niezmordowanie, po kilka godzin dziennie. Wracała mu powoli dawna pewność siebie, siła i regularność uderzenia. Bakhandy były wciąż jeszcze jego słabą stroną, ale smecze, kończące piłki, wychodziły doskonale. Poprawił mu się i serwis i start do piłki.

Na parę dni przed meczem Janek prawie nie schodził z kortu. Raz pod wieczór zauważył jakąś strojną damę, która usiadła na trybunach i przypatrywała się jego grze. Wydała mu się znajomą, ale nie przypominał sobie, gdzie ją poznał. Gdy zeszedł wreszcie z kortu, dama owa wstała i zbliżyła do niego. Dopiero wtedy poznał Verę Marteni, słynną gwiazdę filmową.

— Przepraszam, że panią nie poznałem — począł się usprawiedliwiać.

— Widzieliśmy się raz jeden i to trochę „pod gazem“ — uśmiechnęła się łaskawie. — Ale nie wiedziałam, że pan tak wszechstronnie utalentowany!!

— Trenuję do meczu z Włochami. Już pojutrze ów wielki dzień!

— Ma pan tremer?

— Troszkę.

— Przyjdę napewno na mecz. Jestem entuzjastką tenisu! Ale pan musi wygrać, panie Janku!

— Postaram się...

A teraz mogę pana odwieźć autem do miasta...

— Bardzo dziękuję.

Vera Marteni uusiadła przy kierownicy małego, błękitnego „Mercedesa“.

— Mam z panem tak wiele do pomówienia — mówiła tajemniczo — że najlepiej będzie, jeżeli pan wstąpi do mnie na herbatkę...

— Z największą przyjemnością...

Pewnie i śmiało prowadziła wóz przez pełne ruchu ulice i zatrzymała się po kwadransie jazdy przed małą willą w Alei Róż.

— Wysiadamy, panie Janku. Tu mieszkam.

Mieszkanie gwiazdy filmowej było ultra-nowoczesne. W buduarze, utrzymanym w tonie jaskrawo-karnarkowym, do którego Janka wprowadziła, stała na środku, jak ołtarz na podwyższeniu, ogromna otomana, zarzucona jakąś wschodnią materią i pokryta stosem fantastycznych poduszek. Janek spostrzegł w kącie jakiś dziwacznych kształtów fotel i chciał go przysunąć do otomany. Lecz Vera Marteni powstrzymała go:

— Na tym się nie siada! To podobno tylko do ozdoby! Niech pan nie będzie takim nieśmiałym młodzieńcem i siada przy mnie... Nic złego panu się nie stanie!

Gdy usiadł przy niej, poczęła go obserwować od stóp do głowy, wreszcie rzekła:

— Tak, nie omyliłam się! Pan jest moim typem!

— O, pani...

— Tylko bez szablonowych frazesów — przerwała mu żywo. Nie ma nic banalniejszego, jak towarzy-

ski konwenans!! Ze mną musi pan być tak bezpośredni i szczery, jak w rozmowie z którymś ze swoich kolegów...

Postaram się...

— Ja mówię zawsze to, co myślę, prosto z mostu. Wie pan, jakie są moje trzy pasje? Młodzi chłopcy — sportowcy, alkohol i film!

I której pasji daje pani pierwszeństwo?

— Żadnej. Wszystkie traktuję jednakowo! Ale á propos alkoholu: zamiast obiecanej herbatki, potraktuję pana cocktailem mego wymysłu. Proszę o chwilę cierpliwości. Tu leżą papierosy...

Zniknęła za adamaszkową, jasno-żółtą kotarą, nucąc jakiś przebój operetkowy. Janek zdążył wypalić papierosa w czasie jej nieobecności i sięgnął już odruchowo po drugiego, gdy ukazała się wreszcie ze srebrną tacą, na której stały dwa duże kieliszki, napełnione jakimś brunatnym płynem. Zdążyła się tymczasem przebrać, a raczej ... rozebrać. Miała na sobie jakiś przejrzysty, jedwabny szlafroczek, w rodzaju greckiej tuniki, z boku rozcięty i odsłaniający nogę, do połowy uda,, a na bosych, kunsztownie wypedicowanych stopach o lakierowanych na różowo paznokciach, filigranowe sandały.

— Mam jeszcze jedną pasję — rzekła, dostrzegłszy błysk zmysłowego zachwyty w oczach Jacka — Nudyzm! W Hollywood należałam do klubu nudystów. Mają oni tam swój obóz w lesie niedaleko stolicy srebrnego ekranu. Tylko że tam straszne pokraki! Ani jednej osoby, możliwie zbudowanej! Przestałam tam chodzić... Za to w Warszawie, chodzę po moim mieszkaniu zawsze całkiem nago...

— A czemu dziś nie?

— Bałam się pana zgorszyć... Niech pan skosztuje tego cocktailu mego wynalazku...

Wyborny!

— Sam Aga Khan nim się zachwycił... A teraz panie Janku, pomówmy o interesach. Pamięta pan jeszcze naszą rozmowę o filmie? Otóż sprawa ta jest całkiem aktualna! W tych dniach przyjeżdża do Warszawy, stary mój znajomy, słynny reżyser filmowy w Ameryce, dr. Goldmann, Polak z pochodzenia...

— Prawdopodobnie, polski Żyd...

— Ha, cóż robić! Cały przemysł filmowy w Hollywood jest w rękach żydowskich, a większość słynnych reżyserów, to też Żydzi. Goldmann przyjeżdża do Warszawy na moją propozycję i chce tu nakreść wielki film, oparty na motywach polskich... Oczywiście, przy udziale kapitałów amerykańsko-polskich. Mam w nim zagrać główną rolę i chciałabym Goldmannowi zaproponować, aby pan był moim partnerem...

— Więc pani chciałaby rzeczywiście, na serio...

Na serio! Goldmann musi się zgodzić, bo już jest przyzwyczajony do moich fantazyj... Jak przyjedzie zrobimy z panem próbne zdjęcia... Zgadza się pan?

— Naturalnie, że się zgadzam!

— Lubię taką szczerłość... Jak się pan spodoba Goldmannowi, to przez niego otwarta droga do Hollywood... I naturalnie do świetnej kariery, do sławy! Przecież pan ma niegorsze warunki niż taki Taylor, a góruje pan nad nim głosem! Warunki zewnętrzne i piękny głos — to ogromny kapitał w karierze filmowej!

— Wydaje mi się, że to piękny sen, pani Vero!

— Strasznie pan dziecinny! I nie domyśla się pan zapewne, dlaczego tak mi na panu zależy? Dlaczego chcę pana zaprotegować?

— Istotnie... Nie domyślałam się...

— A może chciałabym, aby pan odegrał swoją rolę i poza filmem?

— To znaczy?

— O słodka naiwności! Trzeba mu wszystko kłaść łopatą w głowę!

Szybkim, niespodziewanym ruchem splotła nagie ramiona dokoła jego szyi i pocałowała w usta. Lęczył się, gdy chciał ją objąć, odsunęła go dość energicznie.

— To był tylko zadatek — powiedziała przekornie. — Pojutrze mecz z Włochami! Trzeba być w dobrej formie! Musisz wygrać, mój chłopaczku! Ja tak chcę!

Nadszedł wreszcie ów „wielki dzień“. Od samego rana tegoż dnia Staszek miał w redakcji wiele roboty. Sekretarz Rawicz obchodził swoją tradycyjną trzydniówkę, t. zn. pił na umór, włócząc się od knajpy do knajpy. W takich okresach nie zjawiał się w redakcji, zawiadamiając Maciaszka z jakiejś knajpy telefonicznie, że jest „chory“. Staszek musiał więc za niego odwalić przegląd prasowy, zamiast pójść na kort tenisowy, jak to biegał Jankowi. Kończył właśnie ów pracowity elaborat, gdy zawezwano go do telefonu.

— Czy to pan redaktor Ostrowski? — usłyszał głos panny Krysi.

— To ja, panno Krysiu — odpowiedział uradowany. — A więc wreszcie przypomniała sobie pani o obietnicy...

— Mówią, że lepiej późno niż wcale... Jakie ma pan dziś zamiary?

Skończyłem właśnie robotę redakcyjną i miałem zamiar pójść na mecz tenisowy Polska - Włochy...

— A wieczorem jest pan wolny-

— Jak ten ptaszek!

— W takim razie może by pan wstąpił po mnie?

— Naprawdę, na serio, można przyjąć?

— Całkiem na serio! Oczekuję pana po meczu, o ósmej...

Gdy Staszek przyszedł na reprezentacyjny kort tenisowy, mecz Polska-Włochy miał się ku końcowi.

Pozostawał jeszcze ostatni „singel“, w którym wystąpić miał Janek contra Włochowi Pomarelli. Obie drużyny wygrały po dwie gry, tak że dotychczasowy stan punktów wynosił 2:2. Spotkanie Janek — Pomarelli miało więc zdecydować o zwycięstwie.

Staszek zastał Janka w garderobie, zdenerwowanego i stremowanego tą odpowiedzialnością za ogólny wynik. W pośepnym nastroju był również prezes klubu.

— Nie liczę na zwycięstwo — mówił — ale niech się pan stara przynajmniej uzyskać honorowy, zaszczytny wynik...

Gdy obaj przeciwnicy wyszli na kort, słońce zaszło za chmurę i powietrze stało się parne i ciężkie. Jak zwykle zaczęło się od wymiany treningowych piłek. Janek po kilku piłkach spostrzegł, że Pomarelli miał bardzo pewny, poniekąd atakujący bakhand. Speszyło go to bardzo. Lecz nagle usłyszał z trybuny znajomy głos:

— Trzymać się, panie Janku!

W pierwszym rzędzie ławek siedziała Vera Marteni i uśmiechała się zachęcająco do niego. Obok, z miłą nonszalancką siedział jakiś przesadnie wystrojony typ, o rysach wybitnie semickich.

— To pewnie ów słynny Goldmann... Jakiś niesympatyczny pasażer — pomyślał Janek.

Tymczasem przystąpiono do losowania miejsc i serwisu, po czym sędzia dał znak do rozpoczęcia gry. Pierwszy zaserwował Pomarelli. Dwie pierwsze, niezwykle ostre piłki poszły w aut. Trzecią piłkę, Janek odbiwszy, wpakował w siatkę. Następną nie tknął, nawet rakieta, wprost zaskoczony tym ostrym serwem swego przeciwnika. Z kolei zaserwował Janek. Gorzej jeszcze niż zwykle, przy treningu. Nie wychodziła mu ani jedna piłka. Albo pakował je w siatkę, albo dawał tak łatwe, że Pomarelli kończył je bezapelacyjnie. Po-

dobnie potoczyła się dalsza gra. Pomarelli bez żadnego wysiłku wygrał pierwszego seta, nie oddawszy ani jednego gema.

I drugi set rozpoczął się pod znakiem przygniatającej przewagi Włocha. Przy stanie 5:0 na swoją korzyść, oddał jednego gema z własnego „samobójczego” serwu. Następnego jednak gema, a więc i seta wygrał z łatwością. Sytuacja wydawała się beznadziejną i wynik już z góry przesądzony na korzyść drużyny włoskiej. Pozostawał trzeci i ostatni set, który miał już być tylko formalnością. Ponieważ gra na ogół mało była interesująca, publiczność w czasie chwilowej przerwy poczęła tłumnie opuszczać trybuny. Wśród nielicznej garstki najbardziej zapalonych, pozostała się i Vera Marteni. Rzuciwszy Jankowi pomarańcze, krzyknęła głośno:

— A teraz na pana kolej!

Okrzyk ten powitany został na trybunach oklaskami. Jakaś młoda, ładna dziewczyna rzuciła Jankowi purpurową różę. Nawiązała się niespodziewanie nie sympatii, pomiędzy publicznością, a szczególnie reprezentantkami płci pięknej, a tym młodym, przystojnym chłopcem, broniącym sportowego honoru drużyny polskiej. Odezwały się zewsząd zachęty do dalszej walki.

Trzeci set się rozpoczął. Pierwszy serwował znowu Pomarelli. Widać było, że lekceważy sobie przeciwnika i eksperymentuje jak najostrożniejszy serwis, ryzykując auty. Wyszła mu pierwsza piłka jak bomba, nie do odbicia, lecz następne posłał w aut, oddając Jankowi gema. Podrażniony w swej ambicji tym zachowaniem przeciwnika i podniecony nastrojem publiczności, Janek, zacisnąwszy zęby, postanowił zastosować metodę Włocha. Zaserwował trzy piłki pod rząd, tak niespodziewanie ostre, że Pomarelli nawet nie drgnął. Czwartą złapał na raketę i przerzucił ja-

kimś podniebnym balonikiem, lecz Janek zakończył ją doskonałym smeczem, wygrywając drugiego z rzędu gema.

Teraz Pomarelli grał już ostrożniej. Wywiązała się po raz pierwszy w tym meczu dłuższa, obustronna wymiana pilek. Tu okazała się raz jeszcze przewaga Włocha. O ile serwis jego był niezwykle ostry i ponieważ ryzykancki, to returny miękkie, choć ogromnie regularne. Po prostu odbijał każdą, nawet najtrudniejszą piłkę z regularnością jakiejś maszyny, grając jakby na wytrzymałości nerwowej swego przeciwnika. I każda taka dłuższa wymiana kończyła się zdobyciem przez niego punktu, mimo rozegrania się Janka i pięknych jego dziwów. niespodziewany opór Janka zaskoczył go, lecz nie wyprowadził z równowagi.

Po niezwykle zaciętej walce, stan gemów wynosił 6 : 5 na korzyść Włocha. Przy swoim serwisie zdobył dwa punkty, które Janek następnie wyrównał, potem znów jeden punkt i miał mecz-balla. Wśród zdenerwowanego nastroju publiczności. Pomarelli uśmiechał się, pewny już zwycięstwa. Posłał pierwszą piłkę dość łatwo, jakby lekceważącą... Zaskoczony tym Janek chciał odpowiedzieć ostrym dziwem, lecz stremowany i zdenerwowany tym rozstrzygającym momentem, czy też wybity z uderzenia, źle ustawił rakieta. Nastąpił typowy, paskudny błąd, przyjęty ponurym pomrukiem przez trybuny. Źle odbita piłka leciała ukosnie i przeraźliwie wolno. Zdawało się, że albo nie dojdzie, albo utknie w siatce. Lecz jakby dobywając ostatnich sił dotknęła taśmy siatkowej, chwilę zawahała się i wreszcie spłynęła łagodnie po drugiej stronie siatki.

— Równowaga! — oznajmił sędzia.

Przez publiczność przeszło wesołnienie ulgi. Gdy Janek zdobył dwa następne punkty, wygrywając ge-

ma, zerwała się burza oklasków. Pomarelli wydawał się trochę speszony, czy zmęczony. Oddał bez walki dwa następne gemy, przegrywając pierwszego w tym meczu seta. Publiczność teraz szalała i na Janka posypały się zewsząd kwiaty.

W czwartym secie Pomarelli zabłysnął znowu najwyższą umiejętnością gry i świetną taktyką, pragnąc widocznie jak najprędzej wykończyć przeciwnika. Z łatwością zdobył cztery gemy pod rząd. Lecz Janek tym razem nie upadł na duchu i nie zrezygnował z walki. Czuiąc się sam w dobrej kondycji fizycznej, spostrzegł, że Włoch spuchł i dobywa ostatnich sił. Postanowił to wyzyskać i zmienił taktykę gry. Zamiast długich, ostrych dziwów, które Pomarelli odbijał niezawodnie, z regularnością maszyny, począł skracać piłki, przerzucając je tuż za siatkę i zmuszając Włocha do biegania. Odniosło to pożądaný skutek. Pomarelli oblany potem, puchł coraz bardziej. Przy stanie 5:4 na korzyść Janka, wygrał jeszcze jednego gema i wyrównał, lecz to był już jego ostatni wysiłek. Oddał dwa następne gemy i przegrał seta.

W piątym, rozstrzygającym secie, sytuacja zmieniła się radykalnie. Teraz Janek był stroną atakującą i gnał przeciwnika po całym korcie, doskonale plasowanymi piłkami. Pomarelli, jakby nadludzkim wysiłkiem zdobył dwa gemy, lecz na tym skończył się i przegrał mecz.

Dopiero teraz Janek poczuł, że i jemu nie wiele brakuje do „spuchnięcia”. Dyszał ciężko i przed oczyma latały mu ciemne plamy. Staszek i prezes klubu wzięli go pod ręce i prowadzili do garderoby, wśród okrzyków rozentuzjasmowanej publiczności. Prezes klubu był wniebowzięty i miał łzy w oczach z zachwytu i radości.

— Wspaniale pan grał! — mówił, obcierając własnoręcznie pot z twarzy Janka — Wspaniale! A zwłaszcza ta wola zwycięstwa! To rozstrzygnęło o wyniku! Postąpił pan jak prawdziwy Polak! W imieniu klubu składam panu serdeczne podziękowanie i gratulacje!

Janek namawiał Staszka, aby poszedł z nim na wspólny bankiet polsko-włoski w Hotelu Europejskim. Lecz Staszek wymówił się.

— Mam dziś wieczór zajęty...

— Randka?

— Ha, może...

Spojrzał na zegarek: dochodziła ósma... Jeszcze gotów się spóźnić i Krysia się obrazi... Lecz gdy wyszedł na ulicę spostrzegł chłopca redakcyjnego, który tu widocznie na niego czekał.

— Co się stało, Antek?

— Ja tu na pana redaktora czekam... Telefonom wali ze szpitala, aby pan redaktor zaraz tam poszedł... Profesor Kłos bardzo chory...

VI.

W szpitalu Ujazdowskim Staszek dowiedział się od lekarza dyżurnego, że stan profesora Kłosa, który leżał tu już od trzech tygodni, jest beznadziejny.

— Co mu się stało? — dziwił się. — Wiedziałem, że jest chory, ale nie sądziłem, aby było tak źle...

— Stan beznadziejny — powtórzył lekarz. — To już tylko kwestia nie dni, ale godzin... Rak żołądka, z przerzutami na wątrobę... Przed pół rokiem można było jeszcze zaryzykować operację, dziś już zapóźno... — Bardzo cierpi?

— Chwilowo nie. Dałem mu zastrzyk morfiny... Prosił, aby do pana zatelefonować, więc to uczyniłem.

Staszek nie poznał profesora Kłosa. Na białym tle poduszki twarz jego, straszliwie wychudła, wyglądała jak trupio-zielona maska. Tylko oczy zachowały

dawną żywość, dobroć i niezmierną pogodę, rozjaśniając się uśmiechem na widok Staszka.

— Bardzo dziękuję — rzekł krótko, wzruszonym głosem.

— Jakże się pan profesor czuje?

— Chwilowo — doskonale... Ale to za chwilę już koniec...

— Skądże takie czarne myśli?

— Dlaczego czarne? Pomówimy jeszcze i o tym i postaram się pana przekonać, że rzeczywistość nigdy nie jest „czarna“... Ale przedtem chciałem pana prosić o wyświadczenie mi pewnej przysługi...

— Słucham, panie profesorze...

— Pisałem do żony, aby mnie odwiedziła, ale nie przyszła niestety. Pewnie nie ma biedaczka czasu... Więc chciałbym przez pana to załatwić... Tu jest książeczka kasy oszczędności. Mam uskładanych trochę oszczędności, około trzech tysięcy złotych... Pan wie, ona pracuje jako tancerka w nocnej kawiarni „Empire“... Przyda się jej to... A gdyby mogła zmienić zawód, gdyby znalazła inną, odpowiedniejszą dla niej posadę, bardzo bym się cieszył... Może ta drobna suma jej to ułatwi... I niech pan jej jeszcze powie, że nie miałem nigdy i nie mam do niej żalu... Przebaczyłem jej wszystko... Rozumiem, że nie mogła inaczej postąpić... Umrę z myślą o niej, bo dała mi wiele szczęścia w życiu...

— Chętnie przysłużę się panu profesorowi tą drobnostką, ale to przecież nieaktualne! Za dwa, trzy tygodnie zobaczymy się znowu w redakcji... Huk roboty czeka na pana profesora... — mówił Staszek wzruszonym głosem.

Profesor Kłos przymknął oczy i leżał chwilę bez ruchu. Potem podniósł nieco głowę i patrząc zamyślonny gdzieś w przestrzeń, jakby jemu tylko widoczną, rzekł cicho:

— Znajdziecie innego kandydata na moje miejsce w redakcji... Tylu dziś bezrobotnych! Naprawdę, nie trzeba brać tak tragicznie mego odejścia do... innego wymiaru. To takie normalne! Finis coronat opus! Śmierć jest ostatecznym, naturalnym uwieńczeniem dzieła życia... Jeżeli dzieło to było bogate i wartościowe, jeżeli sumienie nasze jest czyste, wtedy i śmierć wyda się nam koniecznością piękną a nawet radosną. Kto jest entuzjastą życia, musi być i entuzjastą śmierci...

Głos jego powoli przechodził w szept zaledwie słyszalny:

— Ludzie mają bielmo na oczach. Nie widzą, że piękno wewnętrzne, to klucz do odnalezienia piękna życia... A przecież to takie...

Nagle twarz jego skrzywił grymas bólu. Spalone gorączką wargi poruszały się jeszcze przez chwilę bezgłośnie, jakby chcąc dokończyć rozpoczęte zdanie, a potem znieruchomiały. Lecz powoli rysy twarzy rozpozgodziły się i w szeroko otwartych jego oczach zastąpił uśmiech radosny, jakby odblask jakiejś prawdy życia, w tej ostatniej chwili mu objawionej...

VII.

Minęło dni kilkanaście od pogrzebu profesora Kłosa. Redakcję dodatku literacko-naukowego objął teraz Staszek, w myśl teorii Maciaszka, który twierdził, że dobry dziennikarz powinien wszystko wiedzieć. Na razie korzystał jeszcze z bogatego materiału, pozostawionego w tece profesora Kłosa.

Staszek odczuł boleśnie śmierć „astronoma”. Lecz życie i młodość mają swoje nieubłagane prawa. W wirze zajęć codziennych i osobistych przeżyć, śmierć przyjaciela zacierała się coraz bardziej w jego pamięci. Przeżywał teraz znowu okres, w którym śmierć wydaje się czymś nieuchwytnym, nierealnym, bardzo da-

lekim, a tylko życie ma konkretną wartość. Przeżywał swoją „pierwszą i prawdziwą“ miłość. Nie mógł utrzymać „tego“ tej tajemnicy serca i zwierzył się przyjaciołom. Janek wytrzeszczył wówczas na niego swoje śliczne oczy i wybuchnął śmiechem.

— Ale z ciebie romantyk!

— Ty tego nie możesz zrozumieć! — powiedział Staszek, nieco urażony.

— Dlaczego?

— Bo masz naturę donżuana! Dziś ta, jutro inna!

— Powiedz, któż jest twym ideałem? — dopytywał się ciekawie Janek.

— Powiem wam dopiero wtedy, gdy będziemy mogli ustalić datę naszego ślubu...

— Więc aż tak źle? Więc chcesz się żenić?

— Tak!

— Bój się Boga, Staszku! Tak się sprzeniewierzasz naszym ślubom kawalerskim?

Te projekta matrymonialne dojrzały dopiero dnia poprzedniego, na przechadzce z Krysią w Parku Łazienkowskim. Nie były to formalne oświadczenia o jej rękę, lecz wspólne, szczere, poważne, a przepełnione wzajemnym uczuciem, omówienie przyszłości. Zdecydowali wówczas, że Staszek będzie się starał o posadę w innym dzienniku, bardziej wypłacalnym i że wolne chwile poświęci bardziej intensywniej niż dotychczas pracy literackiej. Wtedy dopiero będą mogli się poobrać.

Miłość pobudziła energię życiową Staszka. Rozpoczął starania o nową posadę i przez protekcję znajomego posła, któremu kiedyś wyświadczył pewną przysługę, obiecano przyjąć go od Nowego Roku do redakcji dużego i zasobnego w fundusze pisma codziennego, jako felietonistę i kierownika działu literackiego. Wykańczał też pośpiesznie, zaczęta jeszcze

dawniej powieść dla młodzieży, na którą miał już zamówienie w poważnej firmie wydawniczej. Wydawało mu się teraz, że potrafi ziemię z posad ruszyć, gdyby tylko Krysia sobie tego życzyła.

Pewnego dnia, odprowadzając raz Krysię z kina do domu, przyjął od niej zaproszenie na herbatkę. Nikt się dziwić nie będzie, że zaproszenie to przyjął z radością, zwłaszcza że towarzyszyło mu spojrzenie powłóczyste i wielce obiecujące. Tak zresztą chciało nieszczęsne fatum!

Podczas gdy panna Krysia zaparzała herbatę na maszynie spirytusowej, Staszek przeglądał leżący na stole album z fotografiami. Mniej więcej w połowie albumu (jaka szkoda, że Krysia tak długo zaparzała herbatę!), natrafił na luźną, nie wklejoną odbitkę. Rzucił na nią obojętnie wzrokiem i nagle zdretniał: przecież to była dobrze mu znana fotografia Janka! W stroju tenisowym, z rozwartą na piersiach koszulą, uśmiechnięty, zabójczo-przystojny, typowy amant filmowy! U dołu czerniała dużym pismem skreślona dedykacja: „Na pamiątkę wielu miłych chwil razem spędzonych — Janek Korba“.

Momentalnie obudziły się w nim dawne podejrzenia i zazdrość przepełniła serce. Przypomniawszy sobie spotkanie z Jankiem wychodzącym z tej kamienicy... Niewątpliwie musiał być wtedy u niej. Ta fotografia jest najpewniejszym tego dowodem. Pewnie ją ofiarował na pamiątkę owej „miłej chwili“. Zgniół fotografię z pasją. Coś się w nim załamało, jakiś tępy, nieznosny ból przeszył serce.

— Co ty wyrabiasz z tą fotografią? — zapytała go zdziwiona.

— Rozumiem teraz, dlaczego nie chciałaś się przyznać do znajomości z Jankiem! — rzekł stłumionym głosem.

— Do znajomości z tym panem na fotografii? I teraz nie mogę się do tego przyznać — odpowiedziała wesoło.

Rzucił jej zgniecioną fotografię pod nogi.

— Kłamiesz! Ta fotografia w twym albumie i ten podpis, świadczą za wszystko...

— Tego pana nie znam osobiście... To nie moja fotografia i ta dedykacja nie dla mnie przeznaczona...

— Nie wierzę ci!

— Staszku!

— Już dawno cię podejrzewałem! Spotkałem kiedyś Janka, wychodzącego od ciebie, nad ranem... Byłem idiotą, że już wtedy nie wyciągnęłem z tego konsekwencji...

Wyprostowała się dumnie i w oczach jej zapaliły się gniewne, przekorne ogniki.

— Dobrze, że mi to powiedziałeś — rzekła chłodno. — Przynajmniej wiem, co o mnie myślisz...

— Powiedz, że to nieprawda! Tłumacz się! — krzyknął, nie panując już nad sobą.

Zawzięła się, typowa kresowianka, uparta i dumna.

— Ani mi się nie śni! Myśl sobie, co ci się podoba!

— W takim razie odchodzę i nigdy nie wrócę!

— Jak chcesz! Ja cię nie zatrzymuję...

Wybiegł bez słowa pożegnania. Jak burza wpadł do mieszkania na Nowogrodzkiej, zbudziwszy śpiącego bło go Felka.

— Gdzie jest Janek? — ryczał jak tur.

Felek zaś ziewnął potężnie, jak obudzony lew.

— Janek? — mruknął zaspany. — Nie ma go...

Zbiję tego łajdaka na kwaśne jabłko! — krzyczał Staszek.

Felek przeciągnął się i rzekł flegmatycznie:

— Ano, możesz go zbić, ale dopiero za trzy dni!

— Dlaczego?

— Bo Janek wyjechał z ekspedycją filmową, gdzieś w okolice Warszawy... Był tu przed chwilą... Za trzy dni ma powrócić... A o co ci właściwie chodzi?

Staszek nie odpowiedział. Rzucił się na łóżko, ukrył twarz w poduszce i nagle począł głośno szlochać.

Istotnie, może na godzinę przed przyjściem Staszka, wpadł do mieszkania Janek, rozpromieniony i rozśpiewany.

— Hurra, zwycięstwo! — wołał. — Gram w filmie!

— Robisz tłum? — zapytał fachowo Felek.

— Głupstwa gadasz! — oburzył się Janek. — Zostałem zaangażowany przez dr Goldmanna do głównej roli w największym filmie polsko-amerykańskim... Na trzy dni wybieramy się na wieś, pod Warszawę, na zdjęcia plenerowe...

— A zaliczkę wziąłeś? — zapytał Felek, wciąż jeszcze sceptycznie usposobiony.

Janek sięgnął do kieszeni i wydobył trzy nowiutkie banknoty stużłotowe.

— Widzisz? Trzysta złociszów! — rzekł dumnie.

— To ci magnat! — dziwił się Felek.

— To tylko drobna część tego, co mi się należy — mówił Janek niedbale. — Abyś nie myślał, że jestem świnią, zostawiam ci sto złotych na pokrycie kosztów naszego wspólnego gospodarstwa...

Kariera filmowa Janka rozegrała się rzeczywiście w tempie prawdziwie kinematograficznym. Wszystko odbyło się tak, jak to przewidziała i jak sobie ułożyła Vera Marteni. Już nazajutrz po meczu tenisowym zaprosiła Janka na kolację do siebie. Było kilka osób z warszawskiego świata filmowego, muzycznego i literackiego oraz największa atrakcja: dr Goldmann. Ten ostatni był już widocznie poinformowany przez Verę o Janku, gdyż po kolacji zagadnął go z obcesowością żydowsko-amerykańską:

— Słyszałem, że pan chciałby spróbować kariery filmowej?

— Owszem, chciałbym — odpowiedział krótko Janek, nie mogąc jakoś przełamać instynktownej antypatii do tego amerykańskiego reżysera.

— Takich jak pan amatorów jest bardzo dużo — śmiał się dr Goldmann, klepiąc go protekcyjnie po ramieniu.

— Ale nie wszyscy mają takie warunki — rzekła Vera Marteni.

Dr Goldmann nałożył monokl i obejrzał Janka od stóp do głowy.

— Hm, warunki... Ty się na tym znasz Vero! Oho! Ale to jeszcze nie wszystko: warunki można mieć, ale nie koniecznie do... filmu! Do filmu trzeba być fotogenicznym! A o tym przekonamy się dopiero po próbnym zdjęciach... Ale i to jeszcze nie wszystko! Twój partner, jak z roli wypada, musi być sportowcem i dobrym śpiewakiem. O zdolnościach sportowych pana Korby przekonałem się już na meczu tenisowym. Mam tylko wątpliwości co do jego umiejętności wokalnych...

— Pan Korba może nam coś zaśpiewać na próbę — zaproponowała Marteni.

— All-right! Niech zaśpiewa!

Janek po kilku kieliszkach wódki i wina, wypitych przy kolacji, nie czuł się pewny głosowo.

— Może innym razem — powiedział. — Nie jestem dziś dysponowany...

— Drobnostka! — rzekł lekceważąco Goldmann. — Wiemy, że pan nie jest Kiepurą! Chcemy tylko wiedzieć, czy pan wogóle potrafi zaśpiewać jaką piosenkę.

— Niech pan zaśpiewa! — prosiła Vera Marteni. — Może „O sole mio“? Będę panu akompaniować...

Głos Janka był niewielki i niedostatecznie jeszcze wyszkolony, ale miły w brzmieniu. Stopniowo milnął gwar w sąsiednich pokojach i coraz więcej osób zaglądało do saloniku. Gdy skończył, rozległy się huczne oklaski.

Zadowolony był również Goldmann.

— Brawo, całkiem dobrze, młody przyjacielu — mówił protekcyjnie. — Jutro Vera zajmie się panem i dopilnuje w studio próbnych zdjęć. Ja bowiem dziś w nocy jadę do Berlina i wracam za trzy dni. Wtedy dopiero będziemy mogli poważnie omówić nasz business... Na razie good by!

Nazajutrz, w studio, wynajętym przez Goldmana, Janek po raz pierwszy stanął przed oślepiającym światłem jupiterów. Odegrał z jakąś statystką, zaimprowizowaną przez Verę scenę, wygłosił krótki dialog, zaśpiewał piosenkę, wreszcie zatańczył z Verą tango.

Vera Marteni zajęła się nim bardzo gorliwie, dopilnowawszy jego uszminekowania, dając fachowe wskazówki, jak się ma poruszać przed obiektywem, jak mówić i jak śpiewać. Po tych próbnych zdjęciach, które trwały dość długo, zawiozła go autem do siebie na śniadanie i jak twierdziła, na „dalszy ciąg nauki“. Owa „nauka“ odbyła się po śniadaniu, w znanym już Jankowi żółtym buduarze. Wystąpił też tu znowu przewiewny szlafroczek, a la grecka tunika...

Próbne zdjęcia filmowe wypadły doskonale. Okazało się, że Janek jest bardzo fotogeniczny i że rusza się przed obiektywem, jak wytrawny aktor filmowy. Gdy zademonstrowano zdjęcia te Goldmannowi, po jego powrocie z Berlina, słynny reżyser cmoknął z uznaniem i z miejsca zaangażował Janka.

— Zobaczysz, to będzie twój pierwszy krok do światowej sławy — cieszyła się Vera Marteni. — Po tym filmie wyjedziemy razem do Hollywood..

Na razie, część świeżo zaangażowanych artystów wraz z Verą Marteni i Jankiem wyjechała w okolice Warszawy, gdzie Goldmann wynajął na trzy dni szlachecki dworek wiejski, w typowo-polskim stylu. Tam miały się rozegrać niektóre epizody akcji. Potem projektowany był wyjazd nad Bałtyk, na Polesie i do Zakopanego, wreszcie powrót do Warszawy i forsowna, kilkotygodniowa praca w atelier filmowym.

Scenariusz filmowy, napisany przez mało znanego warszawskiego literata, spodobał się Jankowi: po raz pierwszy w polskim filmie nie było w nim ani Kozaków, ani żandarmów rosyjskich, ani polskich ułanów, ani sceny pijaństwa z butelką czystej-wyborowej na stole. Była to komedia muzyczna o treści miłej i pogodnej, urozmaicona melodyjną muzyką, a jednocześnie propagująca z artystycznym umiarem polski folklor i polską przyrodę. Musiał też podziwiać, mimo całego uprzedzenia, wytrawną rękę reżyserską Goldmanna i jego artystyczne wyczucie efektownych i nie szablonowych momentów inscenizacyjnych.

Vera Marteni grała w tym filmie rolę córki wiejskiego hreczkosieja, która zakochuje się w śpiewaku wędrownego trupy operetkowej i ucieka z nim z domu, odbywając z całą trupą tournée po Polsce. Śpiewakiem był Janek, ojcem jeden z najsłynniejszych i najbardziej popularnych artystów scenicznych w Warszawie. Napawało to Janka wielką dumą, że grał razem, w jednym filmie, z taką sławą.

Wielki aktor, jak każda sława teatralna, miał usposobienie kapryśnej „primadonny“. Goldmann się wściekał i wygadywał poza jego plecami od „prima-donn“, lecz był dla niego wyjątkowo grzeczny i spełniał wszystkie kaprysy. A kaprysów tych było mnóstwo. Zaraz pierwszego dnia podczas zdjęć oświadczył, że gęganie gęsi tak go denerwuje, że nie może grać. Goldmann, aby go uspokoić, kazał zarządcę nie

tylko gęsi, ale i wszystkie indyki i kury we dworze. Potem się okazało, że w jednej scenie Vera Marteni karmi w kórniku drób. Trzeba więc było na gwałt posyłać na wieś i zakupywać od chłopów drób. Naza jutrz wielki aktor nie chciał grać, ponieważ to był poniedziałek i trzynastego, potem znów zachrypnął, jak twierdził od „nadmiaru świeżego powietrza“, a jak utrzymywał Goldmann od „nadmiaru koniaku“. Do Janka odnosił się przychylnie, ponieważ ten go tytułowa „mistrzem“ i chętnie udzielał młodemu „koledze“ fachowych rad.

Po raz pierwszy w życiu zetknął się Janek z tym światem teatralno-filmowym. Patrzono na nowicjusza z początku trochę z góry i lekceważąco (oczywiście prócz Very!), potem trochę zazdrośnie, gdy się przekonano, że ten nowicjusz ma prawdziwy talent, lecz stopniowo potrafił wszystkich sobie zjednać prostotą, skromnością i słonecznym humorem. A że był przystojny, więc płeć piękna (do której zaliczało się kilka statystek i aktorka, grająca we filmie rolę przyjaciółki Very) darzyła go gorącą sympatią. O tę aktorkę była Vera szczególnie zazdrosna, a uczucia swoje tłumaczyła w swoisty sposób:

— Zabraniam ci kategorycznie flirtować z koleżankami, bo taki flirt może zajść zbyt daleko. Myślisz może, że jestem zazdrosna? Och nie, mój drogi! Jestem na to zbyt nowoczesna... To nie zazdrość, lecz prosty egoizm! Na razie i jak długo mi się spodoba, mam do ciebie fizyczne prawo i nie pragnę się tobą dzielić z kimś drugim!

Te napomnienia były jednak niepotrzebne. Janek mimo licznych przygód miłosnych, nie mógł z Verą rywalizować pod względem doświadczenia erotycznego. To też jeszcze żadna kobieta nie zaważnęła dotąd tak silnie jego zmysłami, jak ona. Żył teraz jakby

w stanie ciągłego upojenia i odurzenia zmysłów i zajęty Verą, nawet nie zwracał uwagi na inne kobiety.

Całe w ogóle życie obecne, tak różne od dotychczasowego, wydawało mu się jakąś fantastyczną bajką. Począwszy od tej pamiętnej chwili, gdy stanął po raz pierwszy w studio przed oślepiającym blaskiem i żarem jupiterów. To było wrażenie raczej przykre. Żar był tak straszny, że rozpływał się w nim formalnie i czuł jak po twarzy ścieka mu szminka wraz z potem. I jak tu nie mrużyć oczu przed tym blaskiem? Jak zachować naturalny wyraz twarzy? Vera Marteni pocieszała go, że tak zawsze jest z początku i że stopniowo przyzwyczai się. Wolał już zdjęcia plenerowe, choć za każdym razem, gdy stanął przed obiektywem przeżywał chwile strasznej tremy. Lecz w tej tremie był jakiś rozkoszny, pociągający urok.

Zapalił się do tej nowej pracy i polubił to życie oparte na iluzji i pełne uroku jakby bajkowej nierzeczywistości. Dnie schodziły na pracy przed obiektywem, na studiowaniu roli i przygotowaniu partii wokalne przy rozstrojonym fortepianie we dworze. Pod wieczór chodzili z Verą na spacer i wracali na wspólną, wesołą kolację i tańce przy gramofonie.

Ostatniego dnia sfilmowano przejażdżkę łódką po stawie, Verry i Janka, w czasie której według scenariusza łódź się wywracała, a Janek wynosił bohaterko z wody na wpół omdlałą ze strachu Verę. Scenę tą na żądanie Goldmanna musiano kilkakrotnie powtórzyć. Goldmann stał na brzegu i wściekał się.

— Na nic cała robota! Zapomnijcie, że pracujecie do filmu! Tu nie ma żadnego obiektywu, a wy na prawdę wpadacie do wody! Panie Korba, niech się pan tak strasznie nie boi! Tu nie głęboko! Ciekawe, że każdy Polak wody nie lubi!

Janek zaciskał zęby, ale bez słowa sprzeciwu powtarzał od początku całą scenę. Ten drobny epizod

zajął im całe przedpołudnie. Wielki aktor tego dnia chodził od samego rana ucharakteryzowany na hreczkosieja. Tak się przejął swoją rolą i tak wspaniale wyglądał, że służba folwarczna i chłopci ze wsi zdejmowali przed nim czapki i pozdrawiali jak prawdziwego dziedzica. Goldmann był zachwycony. Po południu nakręcono scenę wiejskich dożynek, połączoną z chłopskimi tańcami i przyjęciem we dworze. Sceny z filmu, po skończeniu zdjęć zamieniły się w prawdziwą zabawę taneczną, która trwała do późnej nocy.

Nazajutrz, cała ekspedycja, załadowana do dużego autobusu, ruszyła z powrotem do Warszawy.

— Jutro dzień odpoczynku — zegnał artystów Goldmann — a pojutrze wszyscy w studio od ósmej rano. Tylko proszę punktualnie! Bo wy Polacy nie wiecie, co to punktualność!

Janek zastał w domu tylko Staszka. Powitał go wesoło, lecz Staszek spojrzał na niego w milczeniu złym wzrokiem.

— Co ci się stało? — zdziwił się Janek.

— Chciałbym, abyś mi odpowiedział szczerze na jedno pytanie — zaczął uroczyście Staszek.

— Nawet na dziesięć! — zaśmiał się Janek.

— Od jak dawna znasz pannę Krystynę Polańską? — zapytał Staszek.

— Pannę Krystynę Polańską? — namyślał się Janek. — Nie znam takowej... To ktoś z teatru, z filmu?

— Dlaczego kłamiesz? — uniósł się nagle Staszek. — Wiem dobrze, że znasz tę panią... Nieznajomej nie daje się swej fotografii z dedykacją!

Janek spojrzał na niego podejrzliwie.

— Przyznaj się, po wielu ty kieliszkach?

— Słuchaj Janku! Naprawdę nie mam ochoty do żartów. Wiesz mi, że bardzo mi zależy na twojej szcze-

rej odpowiedzi... Pamiętasz, spotkałem cie kiedyś na Pięknej, gdyś wychodził nad ranem z pewnego domu.

— I cóż z tego? Mówilem ci, że byłem wówczas u znajomej dziewczynki...

— U kogo?

— Takich rzeczy nie mówi się...

— A więc przyznajesz się?

Janek nagle spowaźniał.

— Staszku, tu zaszło jakieś nieporozumienie... Otóż powiem ci, że znajoma moja z ulicy Pięknej ma na imię nie Krysia, lecz Dziunia... Słyszysz? I nie nazywa się Polańska, ale całkiem inaczej...

— Dlaczego więc panna Polańska ma twoją fotografię z dedykacją?

— Pojęcia nie mam... A czy ta twoja panna Krysia nie pracuje przypadkiem w telefonach?

— Tak...

— Teraz wszystko rozumiem... Po prostu, panna Krysia jest koleżanką Dziuni! Obie pracują w jednym biurze, mieszkają w jednej kamienicy i bywają u siebie... Fotografię, o którą ci chodzi, ofiarowałem istotnie Dziuni... Musiała ją kiedyś zostawić w mieszkaniu swej koleżanki... Oto masz rozwiązanie dręczącej cię tajemnicy! Sprawa jasna jak parasol!

— Dajesz słowo honoru, że to prawda?

— Nawet sto tysięcy słów honoru!

Po kilku dniach udręki, Staszek po raz pierwszy odetchnął z ulgą. Pozwiała się nieznośna zmora posądzeń i niepewności, lecz jednocześnie zjawily się wyrzuty sumienia. Zdawał sobie sprawę, że niesłusznie skrzywdził dziewczynę, że swą nieuzasadnioną zazdrością zranił jej dumę. Czy zechce mu teraz przebaczyć?

Siedząc w redakcji nad rękopisem rozpoczętego artykułu, zastanawiał się, jak mu wypadła postać.

Tok tych rozmyślań przerwał metrapaź Dobromilski.

— Panie redaktorze, ręce wolne w zecerni!

— Zaraz kończę pierwszą kartkę artykułu..

— Oho, pan mówi o końcu, a ja nie widzę początku! Cały artykuł w kałamarzu siedzi, a pan zamiast pisać, myśli i myśli...

— Panie Dobromilski, weź pan sobie papierosa i wynoś się do wszystkich diabłów!

— Już się wynoszę, ale za dziesięć minut wracam.

— Połamię wtedy panu wszystkie kości!

Skończywszy artykuł, Staszek napisał list do Krysi i własnoręcznie wrzucił go do skrzynki. W liście tym kajał się, prosił pokornie o wybaczenie i pozwolenie przyjścia. Przez trzy dni następne wyczekiwał niecierpliwie poczt, y ale spodziewanej odpowiedzi od Krysi nie było. Wziął więc na odwagę i zatelefnował do centrali telefonicznej. Na zapytanie o pannę Polańską, usłyszał w odpowiedzi:

— Panna Polańska nieobecna...

Więc Staszek chodził teraz posepny i chmurny.

Mówią na ogół i piszą, że miłość „romantyczna“ dziś już całkiem się przeżyła, że młodzież kocha się dziś całkiem inaczej, bardziej „realnie“. Miłość dzisiejsza jest podobno jedynie miłym urozmaicheniem czasu w chwilach wolnych od... piłki nożnej, dancingu, kina i zajęć zawodowych i pozbawiona wszelkich pierwiastków dramatycznych, które były udziałem tej „przedwojennej“, „romantycznej“ miłości.

Teoria ta ma taką samą wartość, jak... każda inna. Staszek, mimo całej swej „nowoczesności“, był najczystszy typem klasycznego „romantyka“. Autor niniejszej powieści znał go osobiście, bo pracował z nim w tej samej redakcji i nie jedną butelkę wina z nim wypił. Właśnie w tej krytycznej dla niego epoce spędził w jego towarzystwie caływieczór i wysłuchał

jego „romantycznych“ zwierzeń, udzielając mu swych doświadczonych przyjacielskich rad.

Pewnego dnia, idąc za radą autora, Staszek kupił wiązanek kwiatów i, dołączwszy list, wysłał przez chłopca redakcyjnego na... ulicę Piękną.

W kwadrans później chłopiec powrócił.

— Masz odpowiedź? — dopytywał się Staszek niecierpliwie.

— Nie mam... Panna Polańska wyjechała z Warszawy na miesięczny urlop... Gdzieś na wieś, ale nie pozostawiła adresu...

VIII.

Dobry Pan Bóg, który wszystko widzi, zauważył Felka, który od pewnego czasu stale, o tej samej godzinie, drałował na piechotę do fabryki samolotów na Okęciu. Przywołał tedy św. Piotra i zapytał:

— Spójrzysz Piotrze! Cóż to za wielkolud?

— To Feliks Rak, Panie Boże — zameldował św. Piotr, stając na baczność.

— Atletą cyrkowy?

— Lotnik, Panie Boże!

— Lotnik i na piechotę chodzi?

— Bo go nawet na tramwaj nie stać...

— Rak i lotnik... To dziwne. A pocóż on tam chodzi?

— Bo złożył projekt nowego samolotu sportowego i czeka na decyzję naczelnego inżyniera...

— Dobrze mu z oczu patrzy! A samolot jego jest coś wart?

— Wspaniała rzecz, Panie Boże! To będzie prawdziwa rewelacja w przemyśle lotniczym!

— A więc zasługuje na poparcie?

— Najzupełniej!

— No to trzeba go poprzeć. Załatw mój drogi tę sprawę...

— Rozkaz, Panie Boże!

— Tylko bez biurokratyzmu! Tak od reki!

— Zaraz wydam instrukcje dyżurnemu archaniołowi...

Tak więc przy poparciu władz niebieskich, inżynier naczelny w fabryce samolotów zainteresował się projektem Felka, rozpatrzył przychylnie i zdecydował zakupić dla fabryki. Zakomunikował tę decyzję Felkowi już najbliższego dnia:

— Owszem, dobry pański projekt. Bardzo ciekawa, nowa i oryginalna konstrukcja, kosztorys tani... Zobaczymy, czy aparat w praktyce okaże się równie dobry. W każdym razie fabryka postanowiła zaryzykować i wybudować według pańskiego projektu, próbny aparat. Jak się nada, rozpoczniemy budowę seryjną... W tym celu zakupujemy od pana prawo wyłączności...

Felek wybałuszył na inżyniera zdumione gały i nie wierzył własnemu szczęściu. Podpisał machinalnie jakąś umowę, nie czytając jej, wziął asygnatę do kasy, bąknął coś ni w pięć ni w dziewięć i wyszedł z gabinetu naczelnego inżyniera całkiem oszołomiony i współprzytomny. Już we drzwiach zatrzymał go inżynier:

— Panie Kolego, zapomniałem jeszcze panu zakomunikować, że potrzebna nam jest pańska współpraca przy budowie samolotu. Dlatego angażujemy pana, na razie jako inżyniera kontraktowego, za wynagrodzeniem pięciuset złotych miesięcznie. Zgadza się pan na nasze warunki?

— Czy się... z z zggaaadam — jakaś się Felek.
— Taaak, oczywiście...

Inżynier uśmiechnął się życzliwie i uścisnął jego dłoń.

— A więc od jutra rozpocznie pan pracę.

Gdy w kasie wypłacono Felkowi dwa tysiące złotych, zdziwienie jego przeszło wszelkie granice. Patrzył na kupę pieniędzy, które kasjerka przed nim rozłożyła i nie śmiał jej tknąć.

— Przeliczył już pan? — zapytała wreszcie kasjerka, trochę niecierpliwie.

— To... wszystko, dla... mnie?

— A dla kogo? Przecież pan miał asygnatę na dwa tysiące...

Felek zgarnął pieniądze, schował do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyszedł z fabryki. Usiadł na ławce przed najbliższym hangarem i patrzył bezmyślnie na mechaników w niebieskich kombinezonach, wytaczających z hangaru samolot. Potem przeniósł wzrok na własne, mocno dziurawe buty i pomyślał:

— Trzeba będzie sobie sprawić nowe...

Sierpniowe słońce prażyło niemiłosiernie.

Felek wstał i powoli ruszył w stronę miasta. Mimo gorąca było mu jakoś dziwnie lekko na duszy. Dookoła gościńca ciągnęły się podmiejskie łąki, nędzne, pozółkłe wydeptane przez wycieczkowiczów i pokryte szarym kurzem z drogi. Kilka krów skubało mizerną trawkę. Lecz Felek patrzył na wszystko z podziwem i z rozczerwieniem.

— Jakie to piękne — mrucał — jakże to wszystko piękne!

Nagle ni stąd ni zowąd ryknął tubalnym głosem:

— Hej — ha!

Jakaś baba podmiejska z psem z targu wracająca, spojrzała na niego przerażona i prędko się przeżegnała. A piesek skoczył do rowu i wył długo, tuląc ogon pod siebie.

Minęła go taksówka, osypując kurzem. Przyszło mu wtedy na myśl, że odtąd będzie jeździł do fabryki autem...

— Ciekawy jestem — mruczał do siebie — co na to wszystko powiedzą Janek i Staszek... Ha, taki Janek, który chciał mi zaimponować trzystu złotymi! Ot, biedaczyna! A Staszкови trzeba będzie zwrócić to wszystko, co na mnie dotąd wyłożył... Serdeczny z niego chłop!

Przechodził obok małego kościółka, w którym właśnie skończyło się poranne nabożeństwo. Przez otwarte drzwi wiało chłodem, ciszą i jakimś kojącym spokojem. Felek wszedł do kościoła, jakby popchnięty podświadomym nakazem i stanął przed ołtarzem z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej. Całkiem odruchowo, jakby z dawnego przyzwyczajenia z lat dziecinnych, złożyły się usta do modlitwy:

— Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...

W niebieskawym półmroku świątyni zatracala się świadomość bytu, czasu i przestrzeni. Przeszłość zlewała się z terażniejszością. Przesunęły się w myśli kolejne dzieje ostatnich kilkunastu lat jego życia. Dzieje wytrwałej pracy, czasem ponad ludzkie siły, dzieje zdawało się beznadziejnej walki o byt, długie dni głodu, zimna, rozpacz i zwątpienia. Aż wreszcie ów radosny dzień, wymarzony już tak dawno, wyteńskniony męką całych lat! Jakby nagroda za wszystkie cierpienia i wszystkie zawody... Dzień, w którym rozpocznie się nowa epoka w jego życiu, ciężka również i odpowiedzialna, lecz jakże dla niego piękna i radosna!

Zdawało mu się, że oblicze Boskiej Rodzicielki uśmiecha się do niego z obrazu...

I oto nagle ten olbrzym i siłacz poczuł się słaby jak dziecko przed tą tajemniczą mocą przeznaczenia, która pokierowała jego życiem... Więc ugiął się, klęknął pokornie i w oczach jego, wpatrzonych w obraz, zabłysły ły wdzięczności.

— Mateńko najmilsza — cisnęły się na usta słowa modlitwy, proste, szczere i z serca płynące. — Dzięki Ci, dzięki stokrotne... Tobie to wszystko zawdzięczam... Tylko Twej łasce przedziwnej! O, Mario! Życiem całym pragnąłbym się wywdziękzyć...

*

Już dnia następnego, Felek, zaliczony do grona kontraktowych inżynierów-konstruktorów, rozpoczął pracę w fabryce. Poświęcił się jej z ogromnym zapałem. Przybrany w strój robotniczy spędzał dni całe w warsztatach fabrycznych, dozorując wykonania części składowych swego samolotu. W chwilach wolnych oblatywał nowe, świeżo wypuszczone z fabryki aparaty. Wyprosił to sobie u naczelnego inżyniera, który chętnie się zgodził, wiedząc, że Felek jest dobrym i doświadczonym pilotem.

Był więc teraz Felek w swym umiłowanym żywiole. Niedźwiedziowaty wielkolud, który zdawało się trzech słów rozsądnych przemówić nie potrafił, stopniowo zyskiwał sobie coraz większe uznanie władz przełożonych, śmiałym rozmachem i precyzją pomysłów konstruktorskich. A swą olbrzymią siłą i jednocześnie zręcznością, budził podziw i szacunek mechaników, z którymi współpracował. Lecz jeszcze większy podziw i trochę zazdrości budził u kolegów-pilotów, gdy zasiadał przy sterze samolotu. Wówczas niedźwiedź zamieniał się w zwinnego sokoła.

Z lokatorami wspólnego pokoju prawie się nie widywał. Gdy wracał wieczorem do domu straszliwie zmęczony po całodzienniej pracy, najczęściej nie zastawał ani Staszka, ani Janka. Wracali zwykle późno w nocy, Staszek z redakcji, Janek z jakiegoś dancingu i spali znów twardo, gdy Felek wychodził rano do fabryki.

Któregoś dnia, podczas przerwy obiadowej, Felek wyszedł na lotnisko, obejrzeć świeżo wypuszczony,

aparatu przygotowany do startu. W pobliżu fabryki stał rząd will, wynajmowanych przez letników z Warszawy. Gdy przechodził koło jednego domku z ogródkiem, usłyszał nagle, że ktoś go woła. Spojrzawszy w ogródek zobaczył przystojną niewiastę w stroju plażowym.

— Pan mnie nie poznaje? — zapytała, uśmiechając się.

— Istotnie... Nie przypominam sobie — mruknął zakłopotany.

— Pan inżynier Rak? Przyjaciół pana redaktora Ostrowskiego?

— Tak...

— A widzi pan! Pan mnie przecież obronił wtedy w nocy na ulicy, przed dwoma napastnikami...

— Ach, to pani jest panna Kryśia... Teraz przypominam sobie... Wtedy było ciemno...

— Jak zwykle w nocy... I nie miałam na sobie kostiumu kąpielowego...

Stał przed nią zakłopotany, garbiąc swą olbrzymią postać i przebierając nogami, jak sztubak.

— Może pan pozwoli na chwilę do mego ogrodu?

— Ja?

— Taki pan zwykle odważny, a teraz boi się...

— Bo gdzież ja, w tym stroju fabrycznym...

— A ja w kostiumie kąpielowym... Świetnie dobrana z nas para...

Otworzyła furtkę i wpuściła go do ogródka.

Niech pan tu usiądzie na trawie — rzekła, wskazując mu miejsce obok siebie. — Pan tu pracuje w fabryce samolotów?

— Tak.

— A więc jesteśmy chwilowo sąsiadami. Spędzam w tym domku urlop wypoczynkowy...

— Opałiła się pani — zauważył nagle — po dłuższym milczeniu.

- A bo plażuję tu całymi dniami...
- Dziwne to, że pani mnie zaraz poznała...
- Jakżebym miała pana nie poznać?
- To prawda. Wielkolud jestem!
- Czy panowie razem we trójkę mieszkają?
- Jakoś się trzymamy razem do tej pory...
- Mam wielką prośbę do pana... Niech pan nic

nie wspomina panu Staszкови Ostrowskiemu, że pan mnie tu widział...

— Pocóż miałbym zaraz mówić? I tak teraz mało się widujemy...

— Proszę mi dać słowo honoru, że pan nic nie powie!

— Jak pani na tym zależy... Dobrze, daję słowo...

Niestety tak miłe rozpoczętą rozmowę przerwał ryk syreny fabrycznej. Felek zawał się szybko i począł się żegnać.

— Już mi czas do fabryki...

Podąła mu rękę z uroczym uśmiechem:

— Niech pan tu czasem do mnie wpadnie... Bardzo będzie mi miło...

Następnego dnia, o tej samej godzinie, spotkał ją na drodze, wiodącej na lotnisko. Wyglądała prześlicznie w skromnej płóciennnej sukience.

— To mój codzienny spacer — powiedziała. Podziwiam samoloty przynajmniej z ziemi i zazdroszczę lotnikom... Tak bym chciała, choć raz w życiu polecieć aeroplanem!

— To pani jeszcze nigdy nie latała? — zapytał niesłychanie zdumiony.

— Nigdy!

Patrzył na nią trochę z podziwem i trochę zgorzszony.

— Hm, to dałoby się zrobić! — powiedział wreszcie.

— Co dałoby się zrobić?

— Aby pani latała...

— Mój złoty panie — zawołała, klaszcząc z radości w dłonie — strasznie byłabym panu wdzięczna...

— Drobnostka — mruknął. — Niech pani jutro rano o siódmej przyjdzie na lotnisko... Wezmę panią jako pasażera...

Nazajutrz o siódmej rano zjawiała się punktualnie na lotnisku. Felek zaprowadził ją do ślicznej maszyny-limuzyny RWD 10, srebrzącej się w płomieniach ranego słońca. Zapuszczono właśnie motor i samolot jak rasowy koń drżał w miejscu, jakby gotując się w sobie do podniebnego skoku. Krysia troszkę z duszą na ramieniu usiadła przy nim w komfortowej limuzynie, na wygodnym fotelu.

Felek włączył gaz. Samolot toczył się po trawie coraz szybciej i nagle wzbił lekko w powietrze. Gdy Krysia, spojrzawszy przez okno, zobaczyła pod sobą przepaść, coraz to pogłębiającą się, wydała okrzyk zdumienia i trochę strachu. Instynktownie oparła się ramieniem o jego potężne ramię. Uśmiechnął się wówczas do niej i coś mówił, czego jednak nie dosłyszała wśród huku motoru.

Stopniowo powracało uczucie pewności i całkowitego bezpieczeństwa. Bo jakże nie czuć się pewnym w takiej komfortowej maszynie? Przecież to tak, jak w aucie! Przelatywali teraz nad jakimś parkiem w Warszawie. Wśród drzew bieleł jakiś domek, a obok mały stawek. Po chwili dopiero zorientowała się, że to są Łazienki i roześmiała się głośno. Jakże to wszystko śmieszne wydaje się z góry! Pałac Łazienkowski jak domek dla lalki, staw, jak mała kałuża, samochody w Alejach Ujazdowskich, jak sznur szybko biegnących karaluchów, a ludzie to już najśmieszniejsi! Jakby mrówki na dwóch łapach chodzące! Spojrzała znów w górę i wydało się jej wtedy, że samolot stoi w miejscu, jakby pływając się w jakimś błękitnym oceanie.

nie. Przycisnęła się znów odruchowo do ramienia Felka i krzyknęła mu prosto w ucho :

— Cudownie!

Poczuła teraz dla niego bezgraniczny podziw i patrzyła nań, jakby całkiem innymi oczyma. Imponował jej. Wydał się jej jakimś potężnym orłem, który porwał ją, słabą i bezbronną i uniósł w słoneczne przestworza, w jakiś lot podniebny, cudowny i słowami nie dający się opisać...

Spotykali się odtąd, co dnia. Zapraszała go do siebie na podwieczorki, lub wieczorem, po zamknięciu fabryki, chodzili na dalekie spacery wzdłuż Wisły. Felek powoli oswajał się w jej towarzystwie, stawał się coraz mniej nieśmiały, a nawet próbował nieraz żartować.

Co porabia pan Staszek? — zapytała go kiedyś!

— Ano, mało się teraz widujemy, choć mieszkamy razem — odpowiedział. — Podobno chce się żenić...

— Pan Staszek żeni się? — zapytała mimo woli drżącym głosem.

— Sam mi to mówił...

Pochyliła głowę i szła chwilę milcząc.

— Wracajmy do domu — rzekła niecierpliwie.

— Przecież mieliśmy pójść dziś na dalszy spacer. — rzekł szczerze zmartwiony.

— Nie mam dziś humoru i ochoty — odpowiedziała.

Gdy spotkali się nazajutrz, była jakaś bledsza i jakby smutniejsza, niż zwykle. Przyjęła go jednak bardzo uprzejmie i serdecznie.

— Niech pan nie bierze za złe mego wczorajszego humoru — usprawiedliwiała się.

— Ależ skądże znowu!

— Bardzo mnie wczoraj głowa bolała...

— A dziś lepiej?

— Dziś trochę lepiej...

Podtrzymywała sama rozmowę, gdyż Felek dnia tego był jeszcze bardziej milczący niż zwykle. Siedział jakiś nadęty i nie spuszczał z niej oczu, wzdychał tylko straszliwie, niczym stary miech kowalski.

Wzdychał tak dalej, gdy wieczorem wrócił do domu i nie zapalając lampy, usiadł przy otwartym oknie, patrząc w rozgwieżdżone niebo. Czuł, że dzieje się z nim coś dziwnego, coś czego nie doświadczył jeszcze nigdy w życiu...

Janek, powróciwszy wyjątkowo wcześniej do domu, zastał go tak przy oknie siedzącego, po ciemku, i wybuchnął śmiechem.

— Cóż ty gwiazdy rachujesz? Astronomia się zajmujesz?

— Głupstwa gadasz — mruknął Felek nieco zmieszany. — Miałem dziś ciężki dzień w fabryce i odpoczywam...

— A może i ty się zakochałeś? — drwił Janek.

Felek wzruszył ramionami i w milczeniu począł się rozbierać. Lecz Janek uśmiechnął się do niego przymilnie:

— No, nie gniewaj się, stary! Wiesz, zamówiłem sobie do filmu nowy smoking... Muszę jutro zapłacić krawcowi dwieście złotych, bo szelma nie chce mi wydać ubrania... A Goldmann nie płaci gaży... Mówi, że dopiero po skończeniu filmu...

— Już wszystko puściłeś, co dostałeś?

— Koszty reprezentacyjne, mój drogi! Z tym krawcem to jednak prawdziwy kłopot...

— Proszę cię... Masz tu dwieście złotych...

— Dziękuję ci Felku!

— Nie ma za co...

Od czasu, gdy Felek stał się kapitalistą, płacił za wszystko i za całą trójkę. Za czynsz zaległy pani Agnie-

szcze, za niewyrównane rachunki po restauracjach, płacił krawców, szewców, Żydów-lichwiarzy, wykupował zaprotestowane weksle. Krzywił przy tym niemiłosiernie gębę, co jak wiadomo, oznaczało u niego wielką radość. Po prostu wydawanie pieniędzy sprawiało mu jakąś niewymowną przyjemność i ucieszył się, jak dziecko, gdy mógł płacić za swych przyjaciół.

Korzystał z tego szczególnie Janek, stale w kłopotach pieniężnych się znajdujący. Otrzymał zaliczkę, już dawno przepuścił na krawców, dancingi i prezenty dla Very. Zresztą i sam Goldmann nie miał teraz pieniędzy. Nie mógł się porozumieć ze swymi amerykańskimi kapitaistami i zdawało się, że film w ogóle nie dojdzie do skutku. Po powrocie ze zdjęć wiejskich do Warszawy, musiano odroczyć dalszą pracę, dla braku pieniędzy. Przez dwa tygodnie aktorzy byli bezczynni. Goldmann stał się mniej wielki i mniej arogancki. Janek denerwował się i niepokoił, lecz Vera pocieszała go.

Pieniądze się znajdują, zobaczysz. Goldmann ma duże stosunki i wpływy w Ameryce, to prawdziwy dyktator w świecie filmu! Przez niego możesz zejść bardzo daleko, ale jeżeli mu się narazisz, zniszczy i złamie całą twoją karierę!

Przewidywania Very sprawdziły się. Goldmann doszedł do porozumienia z kapitalistami amerykańskimi i na ręce jego nadszedł czek na poważną sumę. Odzyskał zaraz dawną pewność siebie i zapowiedział wznowienie zdjęć, a dla uczczenia tej radosny nowiny zaprosił na kolację Verę, Janka i jego dwóch przyjaciół Staszka i Felka. Tych dwóch na specjalne życzenie Very.

Wieczorem, trzech przyjaciele w nowych, eleganckich, ciemnych garniturach zjawili się w restauracji Hotelu Angielskiego, gdzie już zastali Goldmana i Verę. Całe towarzystwo przeszło następnie do osob-

nego gabinetu. Goldmann był zachwycony Felkiem. Nałożył monokl i obserwował go nahałnie, co wreszcie znecierpliwilo olbrzyma:

— Nie podobam się panu? — zapytał opryskliwie.

— Przeciwnie — zawołał Goldmann. — Szalenie pan mi się podoba! Pan jest kapitalny typ! Drugi Wallace Beery! Ja pana muszę koniecznie sfilmować!

— Brawo kolego! — śmiał się Janek.

— To nie są żarty — mówił Goldmann z pijackim uporem. — Ja pana zabieram do Ameryki!

W bardzo wesołym nastroju rozpoczęła się kółka. Vera była czarująca, Janek wprost szalał, Staszek był w świetnym nastroju, Goldmann opowiadał amerykańsko-żydowskie szmoncesy, a Felek ryczał ze śmiechu tak przeraźliwie, aż ściany gabinetu się trzęsły.

Nic tedy nie wskazywało, że tak pięknie rozpoczęty wieczór, zakończy się burzliwie. A jednak, około północy, gdy po kilku butelkach wina, biesiadnicy „bogom stawali się równi“, zaszedł ów nieszczęśliwy incydent, który wywołał fatalne następstwa. Rozegrał się on błyskawicznie i całkiem niespodziewanie.

Janek od pewnego czasu trochę osowiał. Począł go razić i irytować bezceremonialny i nieco brutalny sposób traktowania Very, przez Goldmanna i powstrzymywał się, aby nie wybuchnąć. Gdy Vera poszła ze Staszkiem na salę dancingową, aby zatańczyć tango, Goldmann rzekł z miną zblazowaną:

— Właściwie, to jest symboliczne, także przechodzenie kobiety w tańcu z rąk do rąk... Może właśnie kobiety dlatego tak lubią taniec, bo to odpowiada ich naturze. Ta ciągła zmiana... tancerza! He, he, he! Nieprawdaż? A szczególnie Vera! Dla niej całe życie jest tańcem, jest taką zmianą... tancerzy. Zresztą typowa Polka... Bo i temperament, panie dzieiu i wrodzona natura kokoty...

Po tych słowach zapadło na chwilę milczenie. Tylko Felek patrzył na Goldmanna spode łba i jakoś dziwnie ruszał szczęką. A Janek, bardzo blady wstał i rzekł przez zaciśnięte zęby:

— Pan obraził nie tylko pannę Martenę, ale wszystkie Polki!

— Powiedziałem prawdę! — zaśmiał się cynicznie Goldmann.

— Bydlę! — rzekł wówczas niespodziewanie Felek, jakimś dziwnie słodkim głosem.

Goldmann wytoczył na niego zdumione oczy.

— Co takiego pan powiedział?

— Mój przyjaciel powiedział — zawołał z pasją Janek — że pan jest bydlęciem! A ja podzielam całkowicie jego zdanie!

Goldmann wstał, zataczając się lekko.

— To jest bezczelność! — syknął wściekły.

— Niech pan natychmiast cofnie swoje słowa — rzekł groźnie Janek.

— Ani mi się śni — krzyknął piskliwie Goldmann.

Wówczas to w eleganckim gabinecie restauracyjnym rozległ się głośny trzask siarczystego prawdziwie sarmackiego policzka. Prawie jednocześnie weszła Vera ze Staszkiem.

— Co tu się dzieje? — zapytała zaskoczona.

Goldmann, purpurowy z gniewu, z otwartymi ustami, jak ryba wyrzucona z wody, rozcierał machinalnie policzki i poprawiał nerwowo krawat. Tupiąc nogami, począł naraz krzyczeć histerycznie:

— Zrywam z panem kontrakt! Wymawiam panu posadę! Wyrzucam pana! Do sądu podam! Do żadnej wytwórni pana już więcej nie przyjmą! Ani w kraju, ani zagranicą! Daję panu na to słowo honoru! Jakem Goldmann! Z głodu pan zdechnie, psiakrew! Chodź Vera! Słyszysz? Chodź zaraz!

Vera Marteni stała chwilę niezdecydowana. Wreszcie wzruszyła niecierpliwie ramionami i nie spojrzawszy nawet na Janka, wyszła posłusznie za Goldmannem.

— Vera! — krzyknął za nią Janek.

Lecz Felek go powstrzymał siłą:

— Daj spokój! Mówię ci: nie warto! Ech, co tam...

Gdy w chwilę później trzech przyjaciele wyszli na ulicę, Staszek mruknął:

— Ładny gips!

— Bardzo dobrze go zdzieliłeś — pochwalił Felek Janka.

— Głupstwa robicie i płupstwa gadacie — irytował się Staszek. Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego Janku, żeś lekkomyślnie podeptał całą swoją karierę? Że masz już zamkniętą drogę do filmu?

To prawda — westchnął Janek. — Ale nie mogłem inaczej postąpić!

— Ech, co tam — rzekł nagle Felek. — Janek da sobie radę i bez tego Żyda... Młody jest...

I chrząknawszy parę razy, zanucił niespodziewanie i bardzo łańszywie, studencką pieśń:

— Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus...

Solidnie wrócili do domu. Zaraz po wejściu do pokoju, wzrok Staszka padł na dużą, żółtą kopertę, leżącą na nocnym stoliku, przy jego łóżku. Rozerwał kopertę obojętnie i przeczytał list. Gdy skończył, potarł czoło i patrzył dokoła zdumionym wzrokiem.

— Albo jestem pijany — rzekł naraz — albo nie rozumiem treści tego listu... Janku, przeczytaj to głośno!

Janek zaczął czytać:

„Szanowny Panie! Miło nam zakomunikować Panu, że Dyrekcja Teatru zdecydowała się wystawić pańską sztukę w 10-ciu odsłonach, p. t.: „Błę-

dne koło". Premiera odbędzie się w najbliższym czasie, prawdopodobnie już za dwa tygodnie. Prosimy o pofatygowanie się do dyrekcji, celem omówienia pewnych szczegółów inscenizacyjnych.

Z poważaniem
Dyrekcja Teatru."

IX

Historia niespodziewanego przyjęcia sztuki Staszka, leżącej od przeszło dwóch lat w archiwach teatralnych, spowodowana została dziwnym zbiegiem wypadków. W tym to czasie teatry warszawskie wystawiały przeważnie sztuki z repertuaru zagranicznego. Prasowa krytyka podniosła z tego powodu krzyk, recenzenci teatralni mówili o świadomym bojkocie twórczości polskiej i dziwnie tym razem solidarnie domagali się sztuk polskich autorów. Burza taką wybuchła zwłaszcza po wystawieniu przez Teatr Letni zagranicznej farsy „Kubuś“, może nie gorszej od innych, ale uznanej za „kryminalną bujde“.

Dyrektor teatru, któremu Staszek przed dwoma laty złożył swoją sztukę, po przeczytaniu tych recenzyj, wpadł w złość. Zadzwonił na sekretarza i pokazał mu wycinki z gazet:

— Znowu nas się czepią! Durnie! Ja im pokażę polską twórczość! Niech pan otworzy tę szafę z rękopisami polskich sztuk... Tak... Dziękuję. A teraz niech pan wyjmie pierwszą lepszą...

— Ale którą, panie dyrektorze?

— Powtarzam: pierwszą z brzegu! Najlepiej, zamknij pan oczy i chwyć, co się da...

Dobrze wytresowany sekretarz wsunął rękę do szafy i wyciągnął jakiś spory rękopis w niebieskiej teczce.

— Doskonale — zawołał dyrektor. — Dawaj pan to... Hm, co to takiego? Aha: „Błędne koło“, sztuka

w 10-ciu odsłonach, Stanisława Ostrowskiego“... Świeć-
nie! Wystawimy to!

Pan dyrektor czytał to?

— Nie przypominam sobie... Chciałby pan, abym
może czytał wszystkie grafomańskie wycieczki na-
szych polskich autorów? Nie, tak dobrze nie jest...

— Ale to może jaki kryminał?

— Wszystko jedno! Chcą polskiej sztuki, więc
będą ją mieli! Niech nie mówią, że bojkotujemy pol-
skich autorów! Trzeba zaraz kazać rozpisać role. Na
kilka rąk! Do jutra ma być gotowe! Jutro ustalimy ze-
spół. Pojutrze pierwsza próba czytana. Niech pan da
jeszcze dziś komunikat do prasy i zawiadomi autora.
Proszę zaraz tym się zająć.

Temu to szczęśliwemu przypadkowi zawdzięczał
Staszek przyjęcie sztuki. Próby odbywały się w błę-
skawicznym tempie. Aktorzy pracowali po czternaście
godzin na dobę, sztab dekoratorów pocił się nad de-
koracjami. Dyrektor uparł się, aby sztukę wystawić
koniecznie na pierwszego września, t. j. na dzień in-
auguracji nowego sezonu.

— Jak! ma być skandal — mówił do sekretarza
— to niech będzie grubszy! Polską sztuką, współczes-
nego autora-debiutanta, taką prapremierą otworzy-
my sezon! Dobry kawał, co?

— Panie dyrektorze, nie będzie skandalu!

— Co też pan mówi!

— Dziwnym trafem, sztuka jest naprawdę dobra
i bardzo oryginalna...

— Hm, to ciekawe, ale mało prawdopodobne...

Dyrektor zainteresował się jednak uwagą sekre-
tarza i osobiście poszedł na próbę. Wysłuchał cier-
pliwie do końca, a potem zawezwał reżysera:

— Co pan mówi o naszej premierze?

— Krytycy będą mówić — odpowiedział opry-
skliwie reżyser.

— Ale jakie jest pańskie osobiste zdanie?

— Ja nigdy nie mam osobistego zdania. Pan dyrektor dał mi to do wyreżyserowania, więc — sprawa załatwiona! Nie mam czasu się zastanawiać, czy to szmira, czy arcydzieło...

— Uzgodnił pan z autorem reżyserię?

— Et, co się tam autor zna! Mówił mi jakieś koszalki opalki, ale ja ich nawet nie słuchałem. Prawdziwy autor — to dopiero reżyser!

Dyrektor był zdezorientowany. Doświadczenie teatralne mówiło mu, że sztuka jest ciekawa i powinna zrobić kasę, ale nie chciał temu wierzyć. Bo skądżeby taki debiutant, Ostrowski, mógł napisać dobrą sztukę? Kto o nim słyszał? Czy zna go Paryż, czy Londyn, czy Berlin? Przecież nie należy nawet do ZAD'u.

— Będzie skandal, będzie skandal! — powtarzał z jakąś zjadliwą radością.

A tymczasem Staszek, gdy się przekonał, że dyrekcja teatru tym razem traktuje rzecz poważnie, zamiast radości z urzeczywistnienia swych pragnień, odczuwał tylko wielką treść, powiększającą się z dnia na dzień, w miarę zbliżania się terminu premiery.

Gdy nadszedł ten dzień, spędził go jak zwykły dzień powszedni. Do czwartej po południu siedział w redakcji i załatwiał bieżącą robotę. Odwiedził go zaprzyjaźniony z nim krytyk teatralny, redaktor Wiwiórski i uścisnął jego dłoń, patrząc na niego ze szczerem współczuciem.

— Więc tak nisko upadłeś, aby wystawiać sztuki teatralne? Bój się Boga człowieku! Suche nitki na tobie nie zostawia koledzy-recenzenci! Rozmawiałem już z jednym i drugim...

— Co oni mogą z góry wiedzieć? Przecież nie znają mej sztuki?

— Mój drogi, to się czuje, to się wie! Debiutant polski jest na to, aby polski krytyk mógł sobie na nim użyć dowoli, aby mógł się popisać swą erudycją. Każdy krytyk teatralny przychodzi na premierę sztuki polskiego autora z nożem w kieszeni. I potem rżnie! Bez litości i z szatańską radością. To go stawia w opinii publicznej, to podnosi jego autorytet! Bo o sztuce zagranicznej, choćby to była największa bujda, nie wypada, a raczej niebezpiecznie jest, źle pisać. Można wpaść. A nuż bowiem okaże się, że ktoś już za granicą pochwalił? A nuż w Paryżu, czy w Berlinie miała powodzenie?

— A przecież podnosiliście gwałt, że teatry warszawskie bojkotują polską twórczość?

— To były tylko frazesy! Tego dotychczas nikt na serio nie brał. Ani krytycy, ani dyrektorzy teatrów, ani publiczność... Dopiero teraz, po raz pierwszy! Ale nie bój się! Już ja ci krzywdy nie zrobię! Po przedstawieniu oblejemy chyba premierę, co?

— Ma się rozumieć!

Godziny popołudniowe, nieznosnie wlokące się, spędził Staszek w domu. Oczekiwali razem z Jankiem na Felka z fabryki, aby razem wybrać się do teatru. Przyszedł wreszcie, jakiś dziwnie rozpromieniony i bardziej jeszcze wzdychający, niż zwykle.

— Zobaczycie, że z tego wzdychania Felka, jeszcze co złego wyniknie — powiedział Janek.

Felek uśmiechnął się niespodziewanie pogodnie i rzekł tajemniczo:

— A może i co dobrego?

Odświeżenie przybrani, pojechali taksówka do teatru, gdzie Staszek miał zarezerwowaną dla siebie łóżę. Godzina była jeszcze wczesna i teatr prawie pusty. Zaniepokojony tym Janek, poszedł bez wiedzy Staszka do sekretariatu, aby się dowiedzieć jaki jest stan kasy. Wrócił stamtąd uspokojny z radosną wie-

ścią, że teatr był wyprzedany. Lecz Staszek przyjął tę wiadomość obojętnie. Weisnął się w kąt łoży i w milczeniu, roztargnionym wzrokiem patrzył na spuszczoną kurtynę.

Za chwilę zabrzmiał gong, za chwilę podniesie się ta kurtyna i na scenie rozegra się baśń dramatyczna przez niego wysniona i w mocy twórczej, w ciągu wielu łożennych nocy na papier przelana. Zabrzmiał żywe słowo dialogów, jakby z duszy jego wydarte i tym tłumom nieznanych ludzi, jakby na pastwę rzucone. Przeszedł go znowu nerwowy, niespokojny dreszcz. Jaki oddźwięk znajdzie to słowo? Czy trafi do duszy tych tłumów? Czy je zrozumieją, odczują, czy też splugawią szyderstwem?

Czy nie podjął się zadania ponad swe siły, zadania przerastającego jego talent? Rozmyślał teraz, że byłoby o wiele praktyczniej, gdyby napisał jakąś komedię według utartych szablonów, z tradycyjnym trójkątem, czy czworobokiem małżeńskim, komedię wesołą, z obfitością dowcipnych powiedzonek i komicznych sytuacji. Wtedy, po przełamaniu wszystkich trudności wystawienia, byłby całkiem spokojny i nie miałby teraz tremy...

Snuły mu się w myśli obrazy dramatycznej wizji, które za chwilę rozegrają się na scenie. Oto obraz pierwszy:

Tłum robotników w czeluściach kopalni węgla. Snują się czarne postacie, jak automaty, jak widma. Przed chwilą stała się katastrofa, nastąpił wybuch, zasypana została droga wyjścia, zagasły światła. Robotnicy szukają gorączkowo w labiryncie krużganków drogi wyjścia, błądzą po ciemku i powracają stale w to samo miejsce. Prawdziwe „błędne koło”. Rozgrywają się sceny pełne dramatycznego napięcia. Wreszcie zjawia się stary człowiek, nikomu nieznany i wskazuje drogę wyjścia...

Obraz drugi dzieje się w wspaniałym pałacu dyrektora kopalni węgla. Jest bal dobroczynny na rzecz rodzin, pozostałych po tragicznie zasypanych robotnikach. Pary taneczne kręcą się dokoła, przechodzą do dalszych sal, wracają znowu na scenę. Znów, jakby błędne koło... Nagle orkiestra milknie, rozlegają się jakieś okrzyki... Na ulicy, przed pałacem, wyje tłum zbuntowanych, czy strajkujących górników. Grożą przez delegatów, że wtargną na salę balową, stawiają jakieś żądania. Dyrektor nie boi się, choć zameldowano mu, że przerwano druty telefoniczne. Ma do swej dyspozycji i obrony służbę, świetnie uzbrojoną w broń palną, ma nawet karabin maszynowy. Lecz nagle dowiaduje się, że tym tłumem zbuntowanych górników przewodzi jego rodzony, jedyny, ukochany syn... Ma więc przeciw niemu zwrócić broń?

W obrazie trzecim, ów „zbuntowany“ syn, wyrzucony przez ojca z domu, przebywa na jakiejś egzotycznej wyspie. Razem z nim ukochana przez niego dziewczyna, córka zabitego w kopalni górnika, która z nim uciekła. Wśród wspaniałej, egzotycznej przyrody przeżywają sielankę miłosną. On pod wpływem tej miłości, zapomina egoistycznie o swych ideałach społecznych, o sprawie której pragnął życie poświęcić. Lecz piękna sielanka kończy się dramatycznie. Kochanka jego, ukąszona przez jadowitą kobrę, umiera. On zrozpaczony, ucieka w świat...

Następne obrazy, to dalsze jego dzieje. Aby zapomnieć o swej tragedii, rzuca się w wir życia i użycia. Bardzo prędko traci cały kapitał, wydzielony mu przez ojca. Stacza się na same dno nędzy materialnej i moralnej. Wreszcie otrzymuje wiadomość, że ojciec przebaczył mu i pozwala wrócić do domu. Lecz ta wiadomość zastaje go całkiem już złamanego duchowo i zmęczonego życiem. Nie widzi już celowości ży-

cia. Samobójstwo wydaje mu się jedynym wyjściem z błędnego koła, w którym się znalazł. Wtedy na drodze jego życia staje znów ów stary człowiek, który w pierwszym obrazie wyprowadził górników z zasypanej kopalni. Prowadzi go w jakąś baśniową, zaczerpniętą krainę, nad brzeg jakiegoś wielkiego jeziora, w którym odbija się zachodzące słońce.

Rolę starego człowieka gra wielki artysta. Staszek był na próbie i wydało mu się teraz, że słyszy jeszcze jego głos w tej scenie nad jeziorem.

— Spójrz dokoła! Widzisz te cuda? Trzeba tylko umieć patrzeć! Patrz i nasycaj wzrok, patrz sercem, a na duszę twoją spłynie kojący spokój. Ulecą troski i usta twoje wykrzykną w zachwyceniu: hosanna! Patrz: czy jest co piękniejszego nad ten cichy, wiosenny wieczór? Czy widziałeś coś wspanialszego nad ten pogodny zachód słoneczny? Spójrz na tę harmonię blasków i barw! Patrz: oto na różowo-złotym tle nieba stoją srebrzyste topole, drżące z zachwyty, jakby oczarowane cudem gasnącego słońca! A tam, gdzie ściemniał już błękit niebieski i nabierać poczyna granatowych odblasków, migocą pierwsze gwiazdy... Widzisz? Spojrzyj na te krzewy jaśminu, jakby śniegiem pokryte, cudne w swej bieli przezrystej, zasłuchane w pieśń słowika... Czy czujesz zapach róż? Patrz i słuchaj! A cząstka tego piękna, która cię otacza, przeniknie i duszę twoją. I stanie się wtedy ona piękna, jak kwiat biały róży... I czyste stanie się serce twoje, wolne od niepokojów, a pełne pogody i bezimiennej wdzięczności. Zrozumiesz wtedy piękno życia! Zrozumiesz je przez piękno wewnętrzne! I będziesz wskazywał drogę tym, którzy błądzą, którzy są nieszczęśliwi...

Te słowa napisał kiedyś pod wrażeniem rozmowy z profesorem Kłosem, niezapomnianym swym przewodnikiem duchowym, promiennym apostołem wiary w

dobroć ludzką i w piękno życia... W ustach wielkiego artysty brzmiały one porywająco. Czy poruszają one ten nieznany mu tłum?

Tymczasem teatr powoli się zapełniał. W pierwszych rzędach przeważała stała, typowa publiczność premierowa, a więc przede wszystkim recenzenci teatralni dzienników i tygodników warszawskich.

Jak zawsze zwracała ogólną uwagę uśmiechnięta dobrodusznia i pulchna jak księżyc w pełni, twarz pewnego znanego literata, ongiś również krytyka teatralnego. Był trochę zaczerwieniony po sutym prawdopodobnie obiedzie, obficie zakropionym winem i bardzo zadowolony ze świata, ludzi, swych wydawców i z siebie. Obok skulony, przygarbiony i straszliwie ponury, siedział pewien wybitny krytyk, tłumacz i essayista entuzjasta Balzaca, pogromca Mickiewicza, bożyszcze pół-dziewic i postrach źle zbudowanych dewotek. Zwrócony twarzą do widowni, uśmiechał się do znajomych inny krytyk o dostojnej blond brodzie, nieco już siwiejącej, z miną Jowisza na wesoło, jakby żałujący, że nie jest na balcie z ładnymi dziewczynkami. Nerwowo przeciskał się do swego miejsca w drugim rzędzie, chudy pan, nieokreślonego wieku o uczernionych włosach i wąsach, komediopisarz i jednocześnie krytyk, skryty Don Juan, o świętoszkowatej minie, mocno niezadowolony, że nie jest na własnej premierze. W czwartym znów rzędzie, ironicznie uśmiechnięty, rozsiadł się łysawy, o semickich rysach, recenzent teatralny pewnego tygodnika literackiego, znany ze zjadliwości wobec sztuk autorów polskich.

Obok tych wielkich asów warszawskiej krytyki teatralnej, rozsiadł się tłum pomniejszych plotkarzy, młodych bubków, ongiś reporterów działu gospodarczego lub sportowego, dziś z protekcji cioci ministerwej „krytyków teatralnych“, bacznie zwracających

uwagę na każdy gest i minę mistrzów krytyki i nadstawiających uszy na ich słowa w czasie pauz. Z nich to jeden napisał kiedyś po premierze „Życie snem” Calderona, że to ... „bujda”!

— Każdy z nich tu przyszedł z nożem w kieszeni przypomniał sobie Staszek słowa redaktora Wiewiórskiego.

Naraz zabrzmiał gong, światła pogasły i wśród rumoru spóźnionych widzów, szukających po ciemku swych miejsc, podniosła się powoli kurtyna...

Rozegrała się ponura i grozą tchnąca scena w zasypanej kopalni... Gdy po tym pierwszym obrazie zapadła kurtyna, cisza zaległa w teatrze. Gdzieś na galerii zabrzmiały nieśmiałe oklaski, lecz zaraz umilkły, bo kurtyna podniosła się do następnego obrazu. I po tej scenie, doskonale wyreżyserowanej i znakomicie granej, gdy zapadła kurtyna, teatr milczał. W ciemnościach, wśród głuchej i jakiejś niesamowitej ciszy na widowni, za opuszczoną kurtyną huczała scena obrotowa, przy zmianie następnej dekoracji. I prawie bez żadnej pauzy, ciągle, wśród tej ciszy, podniosła się kurtyna do trzeciego obrazu.

Dekoracja, przedstawiająca stylizowaną wyspę egzotyczną, była wspaniała i bardzo efektowna. W ramach tej dekoracji rozegrała się scena, pełna poezji i subtelного wdzięku. Czar tej poezji płynął ze sceny i stopniowo porywał publiczność. Toteż gdy zapadła kurtyna, teatr grzmiał oklaskami. Rozległy się zewsząd tradycyjne nawoływania: autor! autor!

Do loży wpadł dyrektor teatru, rozpromieniony.

— Triumf, prawdziwy triumf — wołał, sapiąc astmatycznie. — Musi się pan pokazać publiczności...

Porwał Staszka, współprzypadkowego i zaprowadził na kulisy i na scenę. Słychać tu było wciąż oklaski i nawoływania.

— Kurtyna! — krzyknął dyrektor.

Gdy Staszek oprzytomniał, spostrzegł, że stoi na środku sceny, przed podniesioną kurtyną, a przed nim, niby wzburzone morze huczy tłum w teatrze. Ukłonił się nieśmiało i niezgrabnie wycofał za kulisy. Tu porwał go dyrektor w objęcia:

— Brawo, stokrotne brawo! Wziął ich pan. Teraz już pójdzie jak po maśle!

Istotnie, między zdeorientowaną z początku publicznością a sceną, nawiązał się teraz bezpośredni kontakt. Sztuka „wzięła” wszystkich. Oklaski brzmiały po każdej odsłonie, triumf był zupełny.

Najbardziej zaskoczony był Staszek. Dziękował z radosnym uśmiechem za oklaski i słowa uznania, lecz jednocześnie czuł się jakby rozczarowany. Może w tym niespodziewanym triumfie, w tym spełnieniu pragnień, tkwił jak w każdym spełnieniu, przesyć? A może budziła się podświadoma tęsknota nowej walki, nowej męki twórczej, nowych złudzeń i nowych nadziei...

Podczas najbliższej pauzy wpadł do loży redaktor Wiewiórski.

— Serdeczne gratulacje, Staszku! Jest w tej sztuce jakiś czar prawdziwej poezji, a to bierze! Jako krytyk, miałbym pewne zastrzeżenia, ale jako zwykły widz jestem zachwycony!

— Dziękuję ci... A co mówią inni krytycy?

— To są sfinksy! Jedynie ten żydek z Tygodnika Literackiego wyraził się w ten deseń: „To coś trochę z Maeterlincka trochę z reportażu scenicznych Jerzego Tepy, a wszystko razem podlane melodramatycznym sosem Jewreinowa”... Ale nie bierz tego na serio! On tak przecież zawsze!

Biały już był dzień, gdy trzech przyjaciele wrócili do domu. Dopiero wtedy, milczący dotychczas Felek,

począł nagle chrząkać i zacierać ręce, jakby przygotowywał się do dłuższej przemowy. Wreszcie porwał Staszka w niedźwiedzi uścisk swych potężnych ramion i ryknął bardzo wzruszony:

— Byczo było, Staszku! Daj pyska!

X

W kilka dni po premierze, Felek wybierając się rano do fabryki, zbudził śpiących jak zwykle o tej porze Staszka i Janka.

— Słuchajcie chłopcy, mam do was prośbę...

— O tej godzinie nie urzęduję — mruknął Janek głośno ziewając.

— Przepraszam was, ale sprawa jest naprawdę poważna — rzekł Felek dziwnie uroczyście.

— Mów byle prędzej — zawołał Staszek.

— Jutro jest niedziela — zaczął jaskając się Felek — a więc pewnie macie wolne popołudnie... Chciałem was zaprosić na pewną uroczystość...

— Zostałeś zamianowany naczelnym dyrektorem fabryki?

— Co tu dużo gadać — westchnął Felek. — Po prostu... jutro mają się odbyć moje... zaręczyny.

— Chcesz się żenić? Ty? — ryknęli równocześnie Staszek i Janek, wyskakując z łóżek.

Felek zmieszał się i zaczerwienił.

— Ano, tak — mruknął — Cóż w tym dziwnego. Mam przecież posadę i to bardzo dobrą...

— Nie, to kapitalne! — ryczał wciąż Janek.

— Wspaniały kawał! — śmiał się Staszek.

Felek patrzył na nich coraz bardziej zafrasowany.

— Ja wiem, że to może śmieszne — rzekł sucho — z taką gębą jak ja, żenić się...

— Głupiś. Nie chodzi o twoją gębę — rzekł Staszek — ale widzisz, ta wiadomość tak nas zaskoczyła...

— Tak, macie rację... Ale do tej pory to nie było jeszcze pewne, więc nic nie mówiłem...

— A kiedy ślub? — zapytał Janek.

— W przyszłym miesiącu... Oczywiście, także was proszę... Nie mamy nikogo z bliskich na świecie, ani ona, ani ja... Więc mogę na was liczyć, jutro?

— Naturalnie — zawołali jednocześnie Staszek i Janek.

— Dziękuję wam serdecznie... O piątej więc przyjadę po was autem fabrycznym...

Po wyjściu Felka, Staszek i Janek spojrzeli na siebie i jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

— Nigdy bym w to nie uwierzył, że Felek się żeni! — rzekł Staszek.

— Dałbym wiele, aby zobaczyć jego narzeczoną! Jaki to musi być kolos! — śmiał się Janek.

— W każdym razie, nie możemy powiedzieć, aby w życiu naszym nie było urozmaiceń!

— To prawda! Tyle zmian w ostatnich czasach!

— Maluczko, maluczko, a nasza trójka rozbije się i rozleci na wszystkie strony świata!

Cóż pocznie bez nas pani Agnieszka?

Janek powiedział to pół-żartem, lecz w głosie jego zadźwięczał nagle smutek. Staszek milczał, również poważny i zamyślony.

Były to istotnie ostatnie dni ich wspólnej gospodarki kawalerskiej. Janek, przy poparciu Staszka został zaangażowany do pewnej warszawskiej wytwórni filmowej i za miesiąc miał rozpocząć pracę w nowym filmie. Ten ostatni miesiąc przed rozpoczęciem zdjęć zamierzał spędzić u rodziców we Lwowie. Przyjęcie Janka napotkało na duże trudności, z powodu fatalnej opinii, jaką mu wyrobił Goldmann w świecie filmowym. Kierownik wytwórni z początku

nie chciał nawet o nim słyszeć. Ale gdy poznał osobiście Janka, zmienił zaraz zdanie i z miejsca go zaangażował na bardzo dobrych warunkach.

Dla Staszka były to również ostatnie dni w Warszawie. Dostał bardzo korzystną propozycję od pewnego koncernu prasowego na wyjazd do Hiszpanii, a stamtąd na Daleki Wschód, w charakterze korespondenta wojennego i czekał tylko na załatwienie formalności paszportowych, aby wyjechać. Zamierzona podróż trwać miała bardzo długo i Staszek liczył, że dopiero za rok powróci do kraju.

— Wiesz co Staszku — rzekł nagle Janek — a jednak jakaś chandra mnie bierze, na myśl, że to już nasze ostatnie dni... Felek się żeni, ty wyjeżdżasz, niedługo może i ja drapnę do Hollywood... Jakiś rozdział w naszym życiu się kończy... Byliśmy pod wozem i na wozie, a jednak to był piękny okres... A teraz, jaka nas przyszłość czeka?

Nazajutrz, punktualnie o piątej, Felek zajechał po nich autem.

— Dokąd my właściwie jedziemy? — zapytał Janek.

— Moja narzeczona mieszka chwilowo pod Warszawą, niedaleko fabryki samolotów — odpowiedział Felek, zasiadając przy kierownicy auta.

Po kwadransie nieco kawalerskiej, a właściwie „lotniczej“ jazdy, auto stanęło przed małym, białym domkiem w ogródku.

Gdy naprzeciw nich wyszła panna Kryśia Polańska, Felek zawołał wesoło:

— Przywiozłem ci moich kompanów. Staszka już znasz, a ten młodzieniec to przyszły gwiazdor filmowy, pan Jan Kozba...

Nagle począł się głośno śmiać i poklepał Staszka po ramieniu.

— No, cóż ty na to, Staszku? Niespodziankę ci zrobiłem, co? Czy ty myślałeś, że zastaniesz tu Krysię, jako moją narzeczoną?

— Rzeczywiście, to dla mnie prawdziwa niespodzianka — odpowiedział zimno Staszek.

Krysia była bardzo blada i zagryzała nerwowo wargi, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem. Opanowała się jednak i uśmiechnęła, wskazując gościom krzesła.

Zapanowało milczenie. Felek próbował zagaić rozmowę, ale jakoś mu nie nie „wychodziło”. Wreszcie Janek zmiarkował, że coś jest w nieporządku. Przypomniał sobie nagle scenę zazdrości, którą mu zrobił Staszek i natychmiast zorientował się w sytuacji.

— Więc to ta Krysia, w której Staszek się kochał! I nie ja, ale Felek mu ją świsnął!...

Wydało mu się to okropnie zabawne. A że nie lubił skomplikowanych sytuacji, zaczął z ożywieniem gadać za trzech, choć czuł dobrze, że ani Staszek, ani Krysia wcale go nie słuchają.

Staszek milczał uporczywie. Po chwilowej depresji, poczęła w nim nagle kipieć złość.

— Przecież ona nie może go kochać — myślał obserwując Krysię.

— Wybaczcie, moi drodzy — rzekł nagle Felek — Muszę na chwilę skoczyć do kancelarii fabrycznej. Za dziesięć minut wracam...

Gdy odszedł, Janek udał ogromne zainteresowanie różami w ogródku. Staszek i Krysia zostali się sami.

— Cóż znaczy ta cała komedia? — zapytał.

Uśmiechnęła się smutnie i milczała przez chwilę, spuściwszy oczy.

— To nie żadna komedia — odpowiedziała cicho i jakby pokornie.

— Więc chcesz go poślubić?

— Tak...

— To niemożliwe!

— Dlaczego?

— Krysiu! Po tym, co było między nami?

Ożywiła się nagle i spojrzała na niego gniewnie:

— Właśnie po tym, co było — odpowiedziała —

Po tej ostatniej scenie, jaką mi zrobiłeś, po twojej ucieczce!

— Krysiu, wybacź! To było nieporozumienie, to był jakiś obłęd, który mnie ogarnął i którego nigdy sobie nie daruję...

— Zapóźno, mój drogi...

— Nie może być zapóźno! Ja do tego nigdy nie dopuszczę!

— On mnie kocha...

— Nic mnie to nie obchodzi. Mam do ciebie większe prawo, niż on! Kocham cię także i wiem, że i ty mnie kochasz...

— Och, Boże...

W tej chwili przez okno Janek zawołał ostrzegawczo:

— Felek wraca!

— Zaraz z nim się rozmówię — rzekł Staszek.

— Staszku! — krzyknęła przerażona.

Lecz Staszek wypadł już do ogrodu. Przebiegł ścieżkę, pokrytą żwirem i za furtką, na gościńcu prowadzącym do fabryki, spotkał wracającego Felka.

— Co za fujara ze mnie! — mówił śmiejąc się Felek — Zanimniałem, że to dziś niedziela, i że kancelaria zamknięta. A chciałem się dowiedzieć, czy mam jutro dyżur...

Staszek zagroził mu drogę i położył rękę na jego ramieniu. Błady był i pochmurny.

— Felku, muszę z tobą porozmawiać...

— Czy to co ważnego? Bo tam na nas czekają...

— Widzisz, to w sprawie Krysi...

Felek uściśnął go serdecznie.

— A to co innego — zawołał żywo — O Krysi zawsze mogę mówić...

I z niezwykłą u niego gadatliwością, sapiąc, wzdychając, przewracając oczyma, gestykulując i nie dając Staszкови przyjść do słowa, tokował jak zakonchany cietrzew:

— Prawda, że cud dziewczyna? I jaka miła, żebyś ty wiedział! Chryste Panie, oszaleć można... Pamiętasz, wtedy w nocy, kiedyśmy ją obronili...

— Felku — przerwał niecierpliwie Staszek — Krysia i ja...

— Poczekaj Staszku, będziesz zaraz mówił — ciągnął dalej Felek — Ja muszę skończyć, muszę przed tobą się zwierzyć. Tyś mój jedyny, prawdziwy przyjaciel... Och Staszku, żebyś ty wiedział, jak ja jestem bardzo szczęśliwy! Jak Boga kocham, nie liczyłem nigdy na tak wielkie szczęście! Bo skądże ja mogłem się spodziewać, że ona mnie zechce, że mnie pokocha! Czasem, widzisz, mam wrażenie, że oszaleję z tego kochania i z tego wielkiego szczęścia, które Bóg mi zesłał... Krysia, to moje... życie... 5

Umilkł wzruszony, lecz i Staszek teraz milczał. A potem nagle uściśnął dłoń Felka, długo i serdecznie, nie rzekłszy ani słowa.

Gdy razem wrócili do pokoju, Staszek podszedł do Krysi:

— Proszę mi wybaczyć — powiedział swobodnie — że do tej pory nie złożyłem jeszcze życzeń, z okazji pani zaręczyn...

Patrzyła na niego zdumiona i zmieszana. Niemniej zaskoczony był Janek. Stracił jakoś humor i zaniemówił. To wszystko było dla niego zbyt skomplikowane.

Felek rozpakował przywiezione prowizje.

— Krysiu, proszę cie, — zwrócił się do narzeczonej — trzeba przyjąć godnie naszych gości...

Wstała szybko, lecz ręce jej drżały nerwowo, gdy ustawiała na stole kieliszki i talerze.

Staszek pił dużo. Mówił wiele, był nienaturalnie ożywiony i wesół. Wreszcie Janek, który czuł się bardzo źle w tej sztucznej atmosferze, powstał:

— Musimy niestety wracać do Warszawy. Staszek ma dziś ważną konferencję prasową...

— W niedzielę? — zdziwił się Felek. — Posiedziecie jeszcze chwilę... Chodź Janku, pokażę ci model mego samolotu.

Gdy przeszli do drugiego pokoju, Kryśia zapytała cicho:

— Teraz ja mogę powiedzieć, co znaczy ta komeidia?

— Przekonałem się — odpowiedział Staszek równie cicho — że Felek ciebie naprawdę kocha... Nie wiem, czy ja byłbym zdolny do takiej miłości...

— Och, Staszku!

— Nie mogę mu łamać życia... Mam wrażenie, że będziecie oboje szczęśliwi... Felek, to solidny, porządny, pocziwy, wartościowy chłopak... A cóż ja? Lekkomysłny młodzieniec, literat, o niepewnej przyszłości... Za tydzień wyjeżdżam w daleki świat, na bardzo długo... Może na zawsze...

Milczała i tylko dwie łzy spływały po jej policzkach.

*

W drodze powrotnej, Janek nagle, po dłuższym milczeniu westchnął:

— Tak się czasem dziwnie życie... komplikuje!

— To jest pełnia życia — odpowiedział Staszek.

— Radość i cierpienie, triumfy i zawody... Może właśnie w tym tkwi urok życia?

— Nie potrafię wyrazić się tak po.. literacku — rzekł Janek — Ja bym to inaczej określił: życie może być piękne, ale nie trzeba go brać zbyt serio...

Wysiedli z auta, którym Felek ich odesłał, na Nowym Świecie i szli dalej piechotą.

Dokoła wrzał ruch wieczorny, huczało życie wielkomiejskie. Przechodziły tłumy, wystrojone, uśmiechnięte, w powodzi blasków neonowych reklam.

Gorąco było. Staszek zdjął kapelusz i obtarł spoczone czoło.

— Za tydzień — myślał — bezładnie i gorączkowo — wyjadę... Hiszpania, Egipt, Alzacja, Palestyna... Potem może Daleki Wschód... Nowe, bujne życie, nowi ludzie, nowe kobiety... A potem nowa książka, jedna, druga, może nowa premiera w teatrze... Sława... Pieniądze... Pełnia życia... I tak dalej, do końca. Jak to powiedział profesor Kłos? Śmierć jest uwieńczeniem dzieła życia... Dlaczego dla tyłu życie staje się męką?

Przypomniały mu się słowa Janka:

— Życie może być piękne, ale nie trzeba go brać zbyt serio!

Staszek uśmiechnął się z goryczą i pomyślał:

— To także komunał, ale tkwi w nim wiele prawdy! Tak, nie bierzmy życia zbyt serio! Bo inaczej staje się ono męką...

KONIEC.



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000033534



II 761182

1938 r

XX